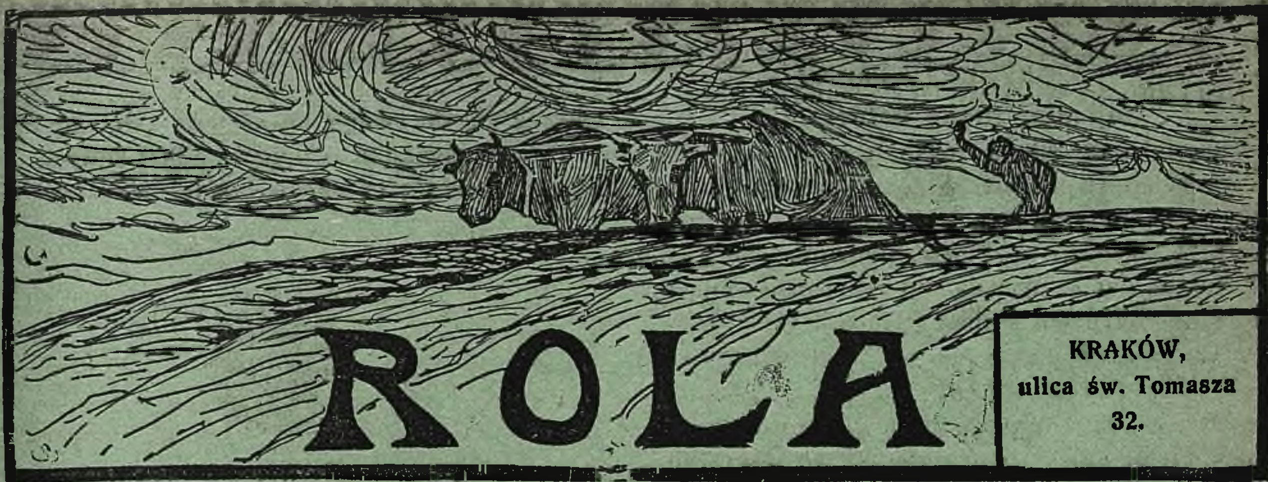
Numer 11. Nal. poczt. opł. rycz. Dnia 18 Marca 1927.



ROLA

KRAKÓW, ulica św. Tomasza 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

Najmniej znana kobieta.

Dzienniki paryskie opowiadają taką anegdotkę: Dwóch ministrów francuskich rozmawiało w tych dniach po skończeniu posiedzenia izby deputowanych, przy wyjściu z Palais Bourton. Niedaleko drzwi stojąca dama przyglądała się rozmawiającym tak uważnie, że jeden z nich pyta kolegi:

— Co ta pani patrzy na nas tak uporczywie? Może ją znasz?

— Właściwie — odpowiada po cichu zapytany — jest to kobieta, którą znam najmniej ze wszystkich, bo to moja żona.



Sumienny dłużnik.

Izydor Schneigeles i Srul Citronenduft przechodził przez las. Nagle wypada bandyta i woła „pieniądze albo życie!“ Obaj żydkowie wyciągają portfele naładowane pieniądzmi, a Srul mówi do bandyty:

— Ja bardzo prosie pana bandyty chwileczkę zaczekać a zaraz pieniądze będą u pana, poczem zwraca się do swego towarzysza „słuchaj Izydor, ja ci tu przy świadku oddaje te 1.000 złotych, które ci byłem winien“; to mówiąc oddał swój portfel.



W koszarach.

Sierżant: Mojsze, dlaczego otwierasz drzwi a na dworze jest 20 stopni mrozu?

Mojsze: Panie sierżancie, ja bardzo psieprasiam, czy jak ja zamknę drzwi, to na dworze będzie cieplej?



U lekarza w małem miasteczku.

Chory: Czy pan doktór w domu.

Żona doktora (żydówka): Kto? pan doktór? Niema, pojechał do ciężkie chorobe.

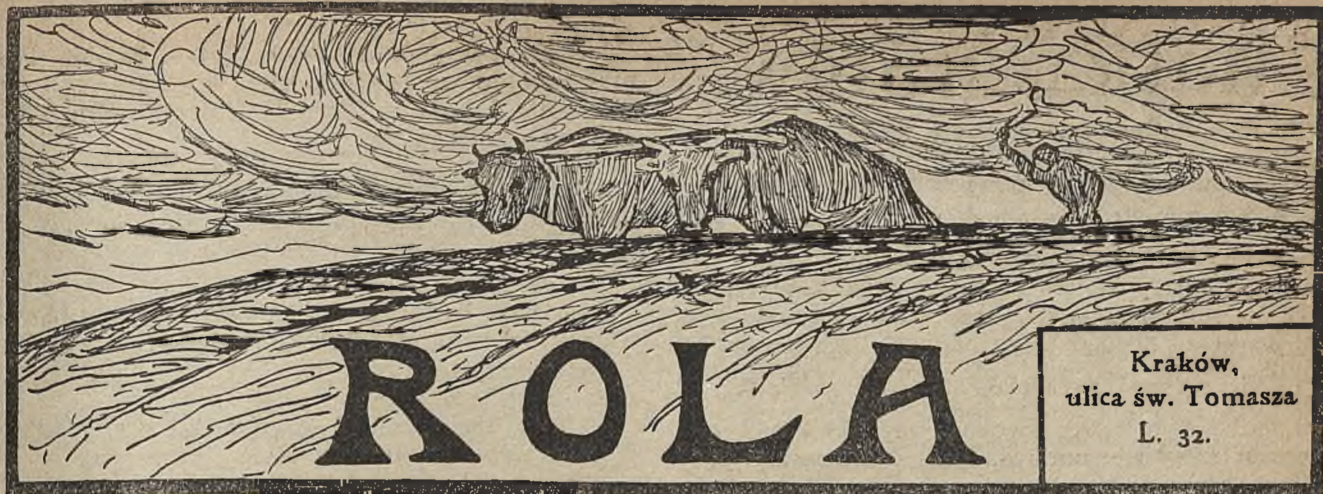


Zawiadamiamy Sz. Czytelników, którzy mają z ich własnej winy numera „Roli“ poniszczone lub zagubione, że możemy im w miejsce takich przesłać nowe po nadesłaniu 25 groszy za egzemplarz i można przysyłać w listach znaczkami pocztowymi.



Przy przesyłaniu prenumeraty przekazami pocztowymi prosimy adresować nie do Administracji „Roli“ lecz: **Konto pocztowe 406.301 Kraków.**

Numer 11. Rok X. Kraków, dnia 13 Marca 1927.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1927: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 kor. cz., kwart. 15 kor. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli" 30 groszy. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.**

Poszanowanie władzy.

Co to jest władza? Odpowiedź na to pytanie nie trudna, gdyż wszyscy mamy nad sobą jakąś władzę, którą uznajemy i z którą mniej lub więcej się liczymy. A więc w rodzinie naszą władzą jest ojciec lub matka, w gminie wójt, w powiecie starosta, a jeszcze wyższe władze to wojewoda, minister, a wreszcie prezydent Rzeczypospolitej równy w innych państwach cesarzom i królom. Oprócz tych władz ogólnych są jeszcze władze specjalne, chociaż w rzeczywistości podległe władzom powyższym. Jedynie władza rodzicielska pochodzi bezpośrednio od Boga, podczas gdy innym nadajemy tę władzę sami. W czasach rozbiorów Polski umieliśmy te władze, choć dla nas obce, szanować i z nimi się liczyć. Niestety, w wolnej Polsce my sobie te władze lekceważymy, nie dlatego, jakoby one były gorsze od obcych, ale owszem dlatego, że one nam są bliższe i jakoś więcej znajome. Przypomnijmy sobie, jak to było za dawnych czasów, kiedy taki obcy cesarz zdawał się nam Bóg wie nie czem, o którym wyrażaliśmy się zawsze z największym szacunkiem, choćby tylko dlatego, aby za obrazę majestatu nie pójść do kryminału. Jakżeż jest dzisiaj inaczej! Iluż to z nas pozwala sobie na lekceważące się wyrażanie o Głowie państwa jaką jest Prezydent Rzeczypospolitej. Robimy to nie dlatego, aby on był gorszy od jakiegoś tam cesarza, czy króla, ale dlatego, że Prezydent to jest człowiek swój, a tamten był obcy.

Tak samo ma się rzecz i z innymi naszymi przełożonymi.

Jeżeli mówimy o poszanowaniu naszych przełożonych, naszej władzy, to nie znaczy to, abyśmy im bezkrytycznie hołdy składali, bo wówczas władza ta przemieniłaby się w samowolę, a kraj musiałby stoczyć się w przepaść. Owszem, jeżeli spostrzeżemy niewłaściwe postępowanie naszej władzy, to można przeciw niej wystąpić w sposób legalny. Jeżeli rozmyślnie i świadomie nadużywa swej władzy jakiś niższego stopnia jej przedstawiciel, mamy nietylko prawo, ale obowiązek w imię dobra ogólnego powiadomić o tem jego wyższego zwierzchnika. Gdyby i tam nie znaleźliśmy zrozumienia naszych zażaleń, należy je przedstawić posłom, a ich obowiązkiem jest zająć się tą sprawą w sejmie i zło usunąć. A gdyby posłowie odmówili interwencji, to przecież i na posłów jest sposób przez odmówienie im naszego zaufania, które okażemy przez nieoddanie im głosów przy wyborach.

A i to nam trzeba wiedzieć, że najwyższą władzą w państwie konstytucyjnem, to jest sam lud, to jesteśmy my sami. Wszak my wybieramy posłów, my ich upoważniamy do działania w naszem imieniu. Od posłów zależą ministrowie, którzy wykonują postanowienia sejmu przez swych urzędników, a więc przez to samo my sami również jesteśmy mocodawcami najwyższych władz państwowych. Jeżeli ktoś nie szanuje władzy, jeżeli nią pomiata, to przez to samo nie szanuje sam siebie.

Powiadają niektórzy, że mamy złych posłów lub że mamy zły rząd. Ani posłowie, ani rząd nie są gorsi od nas samych. Jeżeli się trafi zły poseł, a jest i takich wielu, to znaczy to, że w tym okręgu, z którego on został wybrany, większość wyborców tyle warta, co i ów zły poseł. Jeżeli powiadamy, że jest zły rząd, to znaczy to, iż wybraliśmy do sejmu większość posłów, która zawiodła nasze zaufanie. A jeżeli twierdzimy, że my sami jesteśmy mądrzy i dobrzy, to musimy tem samem przyznać, że większość naszych posłów jest również mądra i dobra, a przez to samo i rząd nasz musi być dobry. Jeżeli zaś jest dobry, to szanować go i poważać musimy, bo on z naszej woli powstał.

Matka królów.

Powieść historyczna z XV w.

2. Witold i Sonka.



Słońce zachodziło za góry: była to godzina, o której na zamku wieczerzę dawano.

Książę Witold zwykłe, gdy dostojnych gości nie przyjmował, sam siadał do nakrytego stołu, bo długo siedzieć przy nim, jak Jagiełło nie lubił, jadł niewiele, nie pijał nic, oprócz wody innego napoju nie znał...

Rzadko bywał tak swobodnym, aby z piękną z pierwszej żony siostrzenicą, Sonką, którąśmy przy huśtawce widzieli, mógł razem biesiadować.

Książę lubił tę piękną Sonkę, może więcej, niżby żona chciała, która o nią była zazdrosna i zbyć jej się z domu pragnęła.

Ale Witold, który rzadko dla kogo powolnym bywał, żonie się nie dawał zmusić do niczego. Tem przykrzejszym to jej było, że czasem Sonka jednem słówkiem wolę jego złamała, uśmiechnąwszy mu się, spojrzawszy na niego oczyma gorącemi. Jej jednej niekiedy ująć się dawał...

Dziewczę wiedziało o tem dobrze, że wiele mogło u tego, u którego nikt nie mógł, bo samo sprzeciwienie się wywoływało w nim opór żelazny. Korzystało z tego czasem zuchwale na przekór księżnie, ale w małych sprawach tylko. Witold grę tę zrozumiał i żonę gniewliwą wyśmiewał.

Niechęć dwóch kobiet rosła, a Sonka w powszednim życiu złośliwej Juljannie ulegać musiała.

Sonka wchodziła na zamek z dziewczętami i miała się do swoich izb zawrócić, gdy drogę jej zaszedł Michno, Witoldowy sługa i pokazując na drzwi, rzekł z pokłonem.

— Kniaź a pan do siebie was prosić kazał. Już po zamku wszędzie szukałem.

— Wieczerzał już? Księżna jest u niego? — zapytała.

— Nie — odparł sługa — właśnie siedzi u stołu, sam jeden jest, nawet pisarzów wołać nie kazał. Oprócz czeladzi niema nikogo.

Sonka, dawszy znak Femce i dziewczętom śmiało do jadalni wkroczyła.

Bystro spojrzał na nią.

— Sonka! — zawołał — kazałem cię szukać po zamku; gdzie się ty kryjesz po komorach, latawico? Myślałem, że bojar jaki rozmiłowany poniósł cię już na rumaku, jabym się za nim w pogoń puścił może, kto wie, albobym pobłogosławił na drogę?

— Doprawdy? — odparło dziewczę śmiało — tak ja dla was mało warta, że nie wiecie?

— Ale ty wiesz, sroczko zła, że ja na ciebie i twoje oczy paskudne patrzeć lubię — rzekł Witold — tylko, już mi się sprzykrzyło pilnować latawicy, która w gnieździe usiedzić nie może. Wolałbym opiekę oddać innemu...

Sonka tymczasem, gdy to mówił, zbliżyła się do stołu, sparła na nim i śmiało patrzała mu w oczy.

— A pocóżeście mnie szukać kazali? — spytała.

— Żeby wyłajać, — rzekł Witold, ale niezbyt surowym głosem i z półuśmiechem na ustach. Wyrosły ci skrzydła, latasz i rwiesz się, szczególniej, gdzie młodzież się kręci. Radbym się zbył ciebie, bo w końcu nie upilnuję, a lada złodziejowi bym cię dać nie chciał.

Sonka ramionami ruszyła. Wtem Witold, poważniejąc stopniowo, rzekł do niej:

— Dość bajania. Sonka! słuchaj mnie dobrze, chcę cię wydać za mąż.

Dziewczę krzyknęło, ale trudno było rozeznać w tym głosie, radość czy przestrach go wywołał. Oczyma zalotnemi a ciekawemi, nic nie mówiąc, pytać się zdawała.

— Za kogo?

— Żebyś ty rozum miała, do nógbyś mi paść powinna, aleś ty na pół dziecko, pół latawica.

Dziewczę nogą tupnęło.

— Mówże za kogo?

Witold kazał czekać długo, ważył coś.

— No rzekł — jak przystało, za starego...

Wzdrygnęła się księżniczka.

— Nie chcę.

— Bo rozumu nie masz — odparł Witold. — Lepszego dla kobiety męża nad starego niema; wy młode wodzicie ich, zdradzacie bezkarnie, a oni was po nogach całują.

— Nie tak mi pilno iść za mąż — skłamało dziewczę.

Witold się uśmiechnął i rękę podniósł do góry. Sonka rozśmiała się też trochę, ale wnet przybrała minkę serjo.

— Wiesz, że ja twojego szczęścia chcę — rzekł poważnie. — Bezemnie ty wielkiego nie zrobisz losu. Ojciec za tobą wiana w ziemi nie da, bo go niema, chyba koszule, i sukienki, a krasę mieć będziesz w posagu. Weźmie cię małe książątko na Ruś, to już dla ciebie szczęście. Kto wie potem, jakie losy cię czekają na małym gródku, z którego brat lub swat wyżenie lada dzień. Oto los twój! A będziesz rozum miała, ja ci takiego męża dam, któremu królowe swatają, ale... stary.

W tej chwili Sonce przyszło na myśl proroctwo Mechy i pobladła; miałaż się tak rychło sprawdzić przepowiednia jej z koroną i łzami?

Witold się rozparł na siedzeniu, jedną ręką bijąc o stół, a patrząc na dziewczę zaciekawione już więcej, niż przelękłe.

— Staremu temu, który już trzy żony miał — rzekł — jeszcze się czwartej zachciało. Jedną poślubił, co aniołem, była, drugą, prostą kobietę, trzecią wziął wiedźmę rodem z piekła, a ja mu ciebie chcę dać czwartą, abyś była królową. No, Jagielle polskiemu cię swatam!

Sonka tym razem krzyknęła głośniej, i oczy sobie zakryła białemi rękami. Na łzy jej się zbierało.

— Nie widziała ona dawno króla Jagiełły, ale słyszała o nim, że bardzo już stary był, że przy żadnej żonie wysiedzieć nie mógł, że wolał ze psy po lasach jeździć, niż pilnować domu.

Wiele więcej rozpowiadano o nim, jak zazdrosny był, jak podejrzewał żony, a lada donosów słuchał. Trwoga ją ogarnęła.

— Stary, prawda! — dodał Witold — ale Sonko, ty co się stroić lubisz, bawić i śmiać, królową być, kazać sobie pokłony bić, na twarz padać przed sobą, nie lepiejże jak na Rusi w pustym zameczku marnieć.

Dziewczę zadumane odjęło ręce od oczów powoli, słuchało z uwagą.

— Jagiełło niemłody — ciągnął książę dalej — jeśliby na niego co przyszło, kto wie, Polacy ci mogą młodego męża wyswatać, aby się Brandenburczyka, którego Jadwidze przeznaczono, się pozbyć. Królową być, — warto coś za to zapłacić... Klejnotów i sukie-

nek, których jesteś żądna, będziesz miała do syta i ludzie ci się kłaniać muszą.

Dziewczę łzy już otarłszy, potrząsało tylko ramionami i głową. Witold usiłował odgadnąć, co dumała i domyśleć się nie mógł.

— Ja wiem, ty rozumiesz, że takiej doli odrzucać nie można — mówił znowu — ale ja cię też darmo nie posadzę na tronie! Ty mi tam jesteś potrzebną i to będziesz podszeptywała staremu, co ja tobie... Tyś moją być powinna, Sonko, jak byłaś dotąd, dzieckiem posłusznem... Wszystko będziesz mnie winna, i ja od ciebie wierności wymagać mam prawo!

To mówiąc Witold wstał, popatrzył na swą wychowankę stojącą w zamysłach i dodał:

— Idź — rzekł — pomyśl, com powiedział, a potem padnij mi do nóg i podziękuj, bo choć ze starym wielka cześć i szczęście cię czeka.

Ze spuszczoną głową, nie odpowiedziawszy słowa, Sonka zwolna wysunęła się z jadalni, a drzwi ledwo się za nią zamknęły, gdy drugie uchylono niecierpliwie, niewieścia głowa wyjrzała przez nie i księżna Juljanna, która na posłuchach stała, wtargnęła niespokojna.

Na widok jej namarszczył się Witold, domyślając się, że rozmowę z Sonką musiała u drzwi pochwycić.

Gwałtownie, z oburzeniem malującem się na twarzy, drgającej od gniewu, przyskoczyła do Witolda, który stał zimny i nieporuszony jak posąg.

— Uszom nie wierzę — krzyknęła. — Ja nie wiem nic, ja nie godna jestem, abyś mi się zwierzył, a tę ulubienicę swą, siostrzeniczkę kochaną, chcesz posadzić na tronie!

— Chcę i posadzę — rzekł książę krótko i dosadnie.

— Ją? ją? na upokorzenie moje! — zawołała Juljanna — aby mnie urągała!!

— Tam, gdzie ją umieszczę, ona mnie służyć będzie — dodał Witold.

Juljanna rozśmiała się.

— Myślisz? tak ty ją znasz? — krzyknęła. — Ona nikomu służyć nie zechce, oprócz samej sobie, a na tobie, na mnie, na nas mścić się będzie za dobrodziejstwa!!

Księżna załamywała ręce, Witold stał zimny i obojętny.

— Tyś się z nią zawsze źle obchodziła — rzekł — boś była śmiesznie zazdrosną, — może dla ciebie nie mieć serca, ale u mnie się od dziecka wychowywała i mnie musi być posłuszną.

Chwilkę pomilczawszy, książę dorzucił dumnie.

— A nie będzie słuchać, to ją z tronu ściągnąć potrafię, jak na tron powołałem!

Łzy poczęły płynąć z oczów księżnie.

— Nie kłam — zawołała. — Chce ci się swoją ulubienicę widzieć wysoko. O! wiem ja, że ona ci milsza nademnie i nad wszystkie, ale Pan Bóg cię skarze, zobaczysz...

Witold uśmiechnął się tylko pogardliwie. Czas jakiś księżna łkała z gniewu.

— Mnie na złość, na upokorzenie, czynisz to — dodała.

— Nie dla ciebie, ani dla niej to czynię — zimno wtrącił książę — ale dla siebie, a to com postanowił, musi się spełnić. Łez nie lej darmo, com rzekł, to się stanie!

To mówiąc książę, który niemiłemu sporowi z żoną chciał koniec położyć, klasnął w ręce, odwracając się od niej. Znak to był zwykle do przywoływania sług lub oczekujących pisarzy. Usłyszawszy to księżna, nie chcąc się wydać ze łzami, pobiegła skryć się do izb swoich. W przedsieniu stojący na zawołanie Cebulka wsunął się cichemi krokami.

Był to szlachcic a Polak, razem z drugim towarzyszem Lutkiem z Brzezia, dość już dawno służący Witoldowi, tak jak on chciał, aby mu służono. Sposobił się niegdyś, ubogie chłopię do stanu duchownego, ale nie mając jeszcze święceń, tylko naukę potrzebną, gdy się zręczność nadarzyła przystał do wielkiego księcia i teraz już o sutannie nie myślał.

Nie tak szczodry jak Jagiełło, umiał jednak nagradzać Witold, usług nie zapominając nigdy.

Cebulka przebiegły, rozumny, łatwego a bystrego pojęcia człowiek, na swój stan uczony dosyć, używając wszystkich tych darów na korzyść pana, woli własnej umiał się wyrzec zupełnie. Zgadywał księcia, rozumiał go łatwiej i lepiej, niż inni, ale nie występował nigdy ani z własnym rozumem, ni radą. Był narzędziem dogodnem i czemś więcej się stać nie kusił. Gdy Witold nim nie kierował, sam nie ważył się na nic.

Dla Cebulki Witold tajemnic nie miał, lecz sługa nie wyzywał zwierzeń, we wszystkiem zachowywał się biernie. To właśnie czyniło go księciu miłym.

Teraz stał pokornie w progu.

— Jagielle więc zachciało się żony, czy Zygmunt mu ją i Barbara narzucają!! — rzekł zwracając się do Cebulki.

— On sam wcale o niej wprzód nie myślał — odparł Cebulka — i nie żądałby jej pewnie, gdyby mu Zygmunt zdrajca własnej córki nie swatał, a ponieważ ta dzieckiem jest, czeską królowę mu rai. Po obu posagi! po jednej koronę, po drugiej wiano ze Szląskiem... Wmówili mu, że jeszcze żenić się powinien! — dodał ciszej Cebulka, poruszając ramionami.

— Przecież, gdy Jadwigę córkę swoją Brandenburczykowi zaręczał — wyrzekł się już tej głupiej myśli ożenienia. Przecież zapowiedzieli w Rzymie, gdy Granowską brał, aby tym ślubom koniec był — mówił Witold. — Wszystko to Zygmuntowe sprawy, on tu nam mąci i chce starego sobie zjednać, aby nim władał, wiedząc, że słaby jest... Mnie się lęka... Nie można dopuścić, aby Zygmunt wpływ swój małżeństwem zapewnił; wolę sam ożenić Jagiełłę !

Spojrzał na Cebulkę, który pytać nie śmiał. Witold przeszedł się po izbie, i stanął przed nim.

— Muszę mu siostrzenicę poświęcić; Sonkę mu dam, co sądzicie o tem?

— Nasi panowie, biskup krakowski i Zbyszko nie chcą żadnej żony dla niego.

— Właśnie dlatego mu ją dam — rzekł książę. Przez nią będę zawsze pewnym Jagiełły i im szyki pomieszam... Młoda jest, piękna, zapanuje nad nim łatwo, a posłuszną mi być musi!

Cebulka wyzwany, aby się odezwał z czemś, potwierdził zdanie pana lub uczynił uwagę jakąś, — zmilczał. Wiedział on dobrze, iż Witold nie zmieni zdania.

— Wygotuj list odemnie — rzekł po chwili książę... Zaleć mu w nim Sonkę, sam z nim pojedziesz do Krakowa. Jagiełło pewnie pytać cię będzie, — zachwalaj mu dziewkę, niech się stary zapali do krasawicy. Sam na sam z nim wprzód, nim on to Zbyszkowi i innym zwierzy, nabij mu dobrze głowę, że drugiej takiej na świecie niema, a z mojej ręki może ją wziąć śmiało. Rozumiesz?

Skłonił się Cebulka.

— List gotuj dziś, zrana mi go czytać będziesz, a jechać trzeba co rychlej, aby Aleksandra mu znowu

jakiej drugiej Granowskiej nie dała... Jak tylko się dowiedzą, że mu świta ożenienie, zewsząd raić będą dziewczęta i wdowy; a ja — ma-li żonę brać — muszę tam swoją postawić przy nim...

Raz jeszcze spojrzał na Cebulkę, który nie potrzebował słów wielu, ażeby pana zrozumiał. Miał już odchodzić, gdy książę wstrzymał go.

— Z listem jadąc, — rzekł — staraj się go nie w Krakowie, gdzie nad nim czuwają klechy, ale na łowach gdzie przydybać. Będziesz miał czas i swobodę dobrze mu Sonkę opisać. Potem mu już jej z głowy księża nie wybiją. Pośpiech trzeba w tem jak w każdej rzeczy; wyprzedzą nas, stracimy wiele. Jeśli kiedy, to dziś mi należy mieć tam pomocnika, bo wrogów ze strachu codzień rośnie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dziwne sny.

Szliśmy do niewoli. Jakieś uczucie wstydu i poniżenia szarpało mą duszę. Szło nas kilkaset ludzi różnych narodowości. Szliśmy przez Śniatyń, Mielnicę, Zastawną, Okno na Bukowinie, wreszcie Kudryńce graniczną wieś na szlak Kamieńca Podolskiego.

Pewnego dnia upał był okropny, zanosiło się na wielką ulewę, byliśmy głodni, spragnieni, zmęczeni, że tylko na wieczny spoczynek chcieliśmy się położyć. Apatja taka mną ogarnęła, że pozwoliłem był robić ze sobą, co się komu było podobało. Postój wypadł nam w lichej mieścinie Szatawie. Ponieważ w miasteczku nie było ani koszar, ani więzienia, więc rozlokowano nas w rynku, na którym we dnie odbywał się targ. Po ciepłej wodzie zwanej „czajem" z jedną kostką cukru, i chlebie z zakalcem, jak żywe ciasto, ułożyliśmy się wieczorem do snu. Kto gdzie mógł, na większej kupie gnoju, na śmietnisku w prochu jak świnie, jednem słowem zaścieliliśmy pokotem cały rynek i kilka uliczek. Patrole Kozaków ulokowały się w sieniach i na poddaszach domów, do których nam przystęp był wzbroniony. W oddali grzmiało okropnie. Czarne chmury zasnuły niebo. Zbliżała się ulewa. Aleśmy o to nie dbali. Każdy zmęczony usnął snem kamiennym, nie myśląc, co z nim będzie.

Po krótkiej modlitwie, która była mi osłodą, usnąłem, z pragnieniem przewidzenia swojego losu bodaj na jeden miesiąc. Zasnąłem. We śnie uczułem jakiś spokój, błogość,znalazłem się niby w kościele, niby przed jakimś białym kościołem z tłumem ludu wiernego. Niby w ołtarzu, niby na froncie kościoła, ujrzałem obraz Matki Boskiej w srebrnych szatach, z koralami, a przed postacią Matki Boskiej inną niewieścią postać klęczącą również w srebrzystym płaszczu. Było mi tak błogo, tak przyjemnie, jak w niebie. Z kościoła wiał chłód i woń kwiecia. Jakieś pieśni cudowne i muzyka koiły me serce. Widziałem dokładnie ściany, front tego kościoła, jak na jawie, ale obraz ten to do dnia dzisiejszego zda się przed mojemi oczyma widnieje. Zdawało mi się, że słyszę głos. — Dobrze ci tu będzie, módl się. Sen mój był tak silny, że nie czułem nawet, iż ulewa, jaka się rozpętała nad nami, zalała nas jak ryby, a ja byłem cały zmoczony, w ustach miałem gnój i proch zmoczony wodą, która płynęła przezemnie jak przez jaką tamę.

Deszcz ustawał, zimny dreszcz wstrząsnął mem ciałem. Sen, deszcz i realne, a tak odmienne od snu moje straszne położenie, że myślałem, że umrę wnet z tej męki. Do rana oka nie zmrużyłem.

Po kilkunastu dniach znaleźliśmy się w obozie jeńców w Darnicy pod Kijowem. Po dwutygodniowym prawie pobycie w tym obozie, znalazłem się w Wielkiej Muksze, wsi należącej do p. Dzierżka z za kordonu, a dzierżawionej przez p. Trojanowskiego, którego zawiadowcą był p. Boruchowski. Wieś ta leżała o przeszło 24 wiorst na południe od Kamieńca, tuż nad Dniestrem, nad granicą Besarabji. Należała do parafji Kitajgród, względnie Kamieniec, ale jak do jednej, tak drugiej było daleko.

O śnie w Szatawie prawie że zapomniałem.

Pewnego razu zaproponował mi p. Boruchowski, bym pojechał mu na jeden miesiąc do jego futoru w Surzyńcach w celu pilnowania zbioru kukurudzy i budowy młyna. Z chęcią się na to zgodziłem. W niedzielę przed południem pojechaliśmy ja, pan Boruchowski, jego siostra wdowa z nadobną córką Leonardją, która powoziła końmi, a ze mną lubiła zawsze gwarzyć o Polsce. Przejechawszy Słobudkę, Bakowice, Stanisławczyk, stanęliśmy na szerokiej płaszczyźnie, jakie są tylko na Podolu. Przed nami zdawało się, że o kilkaset metrów stały kościół, dwór, plebanja polska, cerkiew, i dom popa. Był to Kitajgród. Blisko było widać, ale daleko jechać. Kitajgród stał nad samym jazem, z jednej strony a my z drugiej. Zaczęliśmy jechać zygzakiem w dół, w około wzgórza, a potem znowu zygzakiem w górę dłużej jak dotąd, nim stanęliśmy w tej mięścinie. Tu wypadło koniom odpocząć po długiej i ciężkiej podróży.

Pani i panienka zaproponowały zwiedzenie kościoła. Z chęcią przystałem. Zdawało mi się jednak, żem już raz ten kościół widział — był mi znany, ale nie mogłem sobie przypomnieć, bym podobny kościół już gdzieś widział. Wszedłem do środka. Skoro przestąpiłem próg, spojrzałem na wielki ołtarz. Jak gromem rażony, ukląkłem na obydwa kolana. Serce żywo bić mi zaczęło, na czoło pot wystąpił. Ten sam obraz, kościół, ołtarz w najszczególniejszych zarysach widziany we śnie w Szatawie, był tutaj... Tak mnie to przejęło, żem dalszą drogę jechał milczący, zamyślony, wymawiając się od rozmowy bólem głowy. — Czyż nie był to dziwny sen. Jakżeż tu mogła być wyobraźnia?

W futorze p. Boruchowskiego spędziłem bardzo przyjemnie cały miesiąc, chodząc co niedzieli do swojego cudownego kościoła, jak odtąd ten kościół zacząłem nazywać.

Żal mi było opuszczać polską wioskę, ale nie tu jeszcze był kres mojej niewoli. Po dziesięciomiesięcznym pobycie w Mukszy, nastąpiły zmiany, dzierżawa przeszła w inne ręce, a mnie za odmówienie pracy w niedzielę nowemu dzierżawcy a zwłaszcza rządcy żydowi, wywieziono z kilkoma towarzyszami do Kamieńca do aresztu. Z aresztu tego odstawiano tylko na roboty „kazionne", t. j. rządowe na Sybir, lub w głąb kraju. Znalazłem się w przykrem położeniu. Mówiono już o organizacji transportu do Kiowa, ale i wtedy Opatrzność czuwała nademną, bo w dniu najbardziej krytycznym, zbudzony zostałem przez kolegę ze snu, który oświadczył, że jakiś pan przywiózł do zamiany dwóch Rumunów za 2 Polaków na jakiś folwark do Pożarnicy. Bez namysłu zgodziłem się na wyjazd, nie wiedząc, gdzie ta Pożarnica leży. Zdziwienie moje było ogromne, gdym się dowiedział od swego furmana, że Pożarnica leży w parafji Kitajgrodzkiej, że Pożarnica jest wioską polską. Tu dopiero było moje przeznaczenie dane mi we śnie. Do kościoła chodziłem co niedzieli, wokoło ludność polska, serca bratnie, szlachetne i życzliwe. W tej parafji przebyłem od maja 1917 r. do września 1919 r.

(Dokończenie nastąpi). *Józef Kapuściński.*

U STÓP KRZYŻA.



Onufry Kukla, starzec zgrzybiały, pod krzyż na pole wychodził codzień i czekał często niemal dzień cały, aż go obdarzył datkiem przechodzień. Lecz nieraz słońce wieczorną zorzą uróżowiło nieba obłoki, a Kukla darmo na łaskę Bożą czekał i czekał na ludzkie kroki. Nikt nie przechodził, by grosz ofiarny złożyć na starca zgrzybiałej dłoni, by datkiem jego los wesprzeć marny, i smutek spędzić z stroskanej skroni.

I siedział starzec pod polnym krzyżem i z Panem Bogiem wiódł rozhowory, licząc jaskółki, co lotem hyżym mknęły nad sioła, pola i bory. Więc gdy tak starzec pod krzyżem siedział, całą swą przeszłość Bogu spowiadał. Jak gdyby Pan Bóg o niej nie wiedział, o każdej sprawie mu opowiadał.

Więc mówił, jakto był ongiś młody, chłopak, jak lalka, prosty, jak świeca, pełen zapału, życia, swobody, jak samem szczęściem grały mu lica. Gdy się pokazał w tłumnym rozgwarze, szalały za nim wszystkie dziewoje, a gdy z nim która w tan poszła w parze, na długo szczęście traciła swoje. Bo on za serce serca nie dawał, miłość mu wówczas była nieznana, choć przecież nieraz miłość udawał i nieraz mówił słowo: kochana. Lecz gdy dziewczyny serce rozpalił, biegł, aby szukać innej zdobyczy, a nad nieszczęsną się nie użalił i wiedzieć nie chciał o jej goryczy.

Mijały lata, a on się bawił, o pracy nigdy nie myśląc wcale, na próżnowaniu czas drogi trawił, bez troski, wesół, szczęśliwy stale.

Lecz nic trwałego niema na świecie! I jego swobód przyszedł kres wreszcie. Oto pewnego dnia jakoś w lecie bawił na targu w sąsiedniem mieście, gdzie spotkał jakąś tłustą pannicę. Miała trzos pełen, buziak rumiany i w rynku aże dwie kamienice. Spotkał ją i tak z słowa do słowa poszło, że jakoś w dni dość niewiele w mieście zaczęta błaha rozmowa zakończyła się ślubem w kościele.

Miał Kukla żonę, a z nią dostatki, nie brakło nigdy u żony jadła, był grosz u niego tak dotąd rzadki, lecz jakoś mina wkrótce mu spadła. Żałował srodze tego zamęźcia, tak zawartego jakoś pochopnie, bo w niem nie było ni trochy szczęścia, gdyż bez miłości żyć tak okropnie! Już w tydzień Kukla od żony stronił, lecz pijatyki groszem jej płacił, na które wkrótce mienie jej strwonił i własny honor w wódce utracił.

Z żałości żona wkrótce mu zmarła. Lecz się i teraz pracy nie imał, więc bieda często srodze go żarła, aż raz go u stóp swych krzyż zatrzymał. I odtąd codzień u tego krzyża siada i modły wznosi do nieba i głowę swoją, prosząc, uniża, już nie o szczęście lecz o kęs chleba.

Oj, już nie wrócą młodzieńcze lata, nie zaznać, starcze, szczęścia już tobie! Życie, jak mgnienie, szybko ulata, a twoje szczęście już tylko w grobie!

Antoni St. Bassara.

Maciek Bzdura gada:

Powiadają ludzie, ze największą i najczęściejszą wadą nie tylko babską, ale i chłopską, nie tylko u nas w kraju, ale i w Hameryce, to jest kłamanie. Tak powiadają i zdaje mi się, ze prawdę powiadają. Bo ino pomyśleć se trzeba nawet o najuczciwsem człowieku, ile razy on zełga na dzień nicem hadukat.

Weźmy na to jakiego poćciwinę, choćby to był sam jegomość nawet, idącego w rozchlapany dzień drogą do Psi Wólki. Jakby ten człowiek, spotkawsy cię, chciał rzyc prawdę, toby zacął kląć od cholerów i wtedy mówiłby prawdę. A on zamiast tego ni stąd ni zowąd powiada ci: dzień dobry panie Macieju! I cy on rzekł prąwdę? Gdzie tam, zełgał na amen, a przeciez nikt go kłamcą nie nazwie.

Albo niejeden z was chyba był u somsiada na prosonem jedzeniu. Postawili mu na stole spitrasone jedzenie; próbuje, przełyka, ale liść mu do zołądka nie chce, ino w gardle staje i ku wymiotom się zbiera. Somsiadka molestuje: Jedzcie, kumie, a jedzcie! A kum zamiast pedzieć: Świniom se dej takie zarcie, to się sumituje, ze nie głodny, ze dopiero po obiedzie i nijak juz jeść nie moze. Zełgał dokumentnie, a przeciez go nikt za łgarza miał nie będzie, ale za delikatnego i dobrze wychowanego człowieka.

Albo, choć to dzisiaj post, i o tońcu gadać się nie godzi, poprosis do jaki tramlapolki jedynackę pana wójta, która się tyle na tańcowaniu rozumie, co świnia na orzechach, i zamiast po podłodze po twoich odgniatach buciskami się uwija. Spróbuj jej pedzieć, ze wierci się, jak zaba w baduni, toby ci nie tylko ona, ale i jej rodzicielka taką repremendę palnęła, zebyś ruski miesiąc popamiętał. Pewnikiem nietylko ona, ale wieś cała do śmierciby więcej na ciebie nie pojrzała. Musis to wszyćko cierpliwie, jako pokutę za nieodpuscone grzychy znosić i ani pary z gęby nie pusknąć.

I tak wszyscy ludzie kłamią bez ustanku, jak najęci, nikt jem tego za złe ni ma, ale owsem jesce ich za to chwali. A więc doktur, jak przyjdzie do chorego i choć widzi, ze u nieboraka juz dusa na karku, to jesce powiada: Przyjacielu, nic ci nie będzie, za parę dni będzies zdrów! I zapisuje mu lekarstwa, przychodzi raz i drugi dotąd, póki się choremu biedakowi nie sprzykrzy i nie ucieknie za plebańską oborę. Powiadają ludzie, ze to ućciwy doktur, bo pociesał biedaka do ostatniej chwili i umilał mu jesce tę odrobinę zycia, i nie wiem, cy lepiejby był zrobił, gdyby był odrazu pedzioł choremu: Cego chces odemnie, chyrlaku kiedy juz pojutrze świtaniem jegomość ci rekwijem zaśpiwają.

Albo weźmy takiego adwokata, który ma bronić jakiego rzezimieska przed sądem. Ciekawym, cyby go kto o obronę poprosił, gdyby on tak przysed do pana sędziego i pedział mu: — Słuchajcie, ojciec! Ten a ten drągal, którego macie sądzić, to obwiesisko okrutne. Poco macie się mordować i cas po próżnicy tracić. Wsadźcie go lepiej do ula, zeby do skonania świata Bożego nie widział!

Gdzie tam. Pan obrońca tego nie powie, ale będzie gębował i na wszyćkie świętości się zaklinał, ze jego pupilek to niewiątko a ino złość ludzka w takie kalmancje go wepchała. Sędzia, choć wie, ze to wszyćko łgarstwo, to nietylko adwokatowi w gębę nie plunie, ale się potem z nim przy śnapsie na wszyćkie strony całuje.

Moze kto powie, ze doktór to ma juz takie pozwoleństwo generalne na kłamanie, aby ludzi przed casem nie trapić, a adwokat to juz tak łze z urodzenia, bo przecie kuzden wie, ze jak insy za ućciwą pracę pieniądze bierze, tak on za łgarstwo. Jak kto tak powie, to ta moze i nie bardzo skłamie, ale są ludzie, którzy nie muszą kłamać, a przeciez kłamanie przychodzi jem, jak z płatka.

Ot weźmy na przykład takiego kandydata na posła. Ci przecie ani nie mają generalnego pozwoleństwa na kłamanie, ani się z tem juz nie urodzili. Pomyślcie sobie, jakby to wyglądało, jakby taki kandydat na posła przyjechał do Psi Wólki i taką ućciwą mowę do nas powiedział:

— Sanowni wyborcy! Choroba mi z tego przyjdzie, cy wy tam będziecie małe podatki płacić, cy będziecie mieli drogi dobre, cy wam wybudują kolej do Psi Wólki i cy wam wogóle zrobią to, coby wam było najbardziej potrzebne. Mnie się wyłącnie o to rozchodzi, abym się raz oderwał od pługa i cepów, zebym se pojechał do Warsiawy, zeby mi dali porządną penksję, za którąbym se móg pojeść i popić, nic nie robiwsy. A was niech ta dalej bida tłuce, jak was dotychcas tłukła.

Pewnikiem takiego kandydata wylalibyście tej minuty z Psi Wólki za to, ze wam prawdę powiedział. A tymcasem, jak wam zacnie łgać, to choć widzicie, ze łze, jak nieboskie stworzenie, to nietylko go nie wylejecie ze wsi swojej, ale jesce mu brawa bijecie i za Bóg wie co go macie. Pedziołby moze kto, ze nie wiedział, iz pan kandydat łgał, jak najęty. Moze i to być, ale gdy się po latach kilku przekonacie, ze to ówcesne gadanie pana kandydata było łgarstwem, to i wtencas nie stronicie od niego, ale za honor sobie macie, ze się mozecie z takim ocajdusą spotkać.

Ale to juz tak jest na świecie, ze my wszyscy na kłamstwo narzykamy, a sami kłamiemy, co się wlizie. A moze i ja w dzisiejsem swojem gadaniu nakłamałem, bo juz trudno na świecie rozeznać nietylko kiedy kto prawdę mówi, ale nawet kiedy cłek sam prawdę mówi.

Miej litość, o Boże!

O Boże! Czy jest na świecie czyjeś serce,
Które Cię poznać, objąć może?
Czyli się znajdzie ktoś, kto w życia rozterce
Duszą Cię całą kocha, Boże?

O Chryste! Czy ludzie z życiowej podróży
Przynoszą Ci serca swe czyste,
Czyli też w złej grzechu skalane kałuży
I z łaski odarte, o Chryste!?

Miej litość, o Boże! nad ludzką niedolą,
Bo nęka nas nieszczęść obfitość.
Niech dusze się nasze z złych więzów wyzwolą!
O Panie! nad nami miej litość!

A. M.

Wśród puszcz i stepów.

Rozłożyli ognisko i wkrótce myśliwiec usnął tym snem niezmiernie lekkim, właściwym ludziom, którzy są zwykle otoczeni niebezpieczeństwami. Już i Cezar drzemać poczynał, gdy nagle ogarnął go jakiś nieopisany niepokój. Nie mogąc go stłumić, zerwał się po chwili na równe nogi i usiłował przebić wzrokiem ciemności; nic jednak nie mógł dojrzeć, gdyż noc była nadzwyczaj ciemna. To poruszenie murzy-



Dik z Cezarem pozostali sami.

na nie uszło uwagi myśliwca; przebudził się natychmiast i pochwycił strzelbę.

— Co się stało? — zapytał półgłosem, lecz nie czekając odpowiedzi, zerwał się także i pilnie nadsłuchiwał.

— Czy słyszy pan? — szepnął Cezar — co to może być za głos?

— Jest zanadto oddalony — odpowiedział myśliwiec — abym mógł rozpoznać odrazu, co to za stworzenie. Może sowa, albo... prawdopodobniej jeszcze — pies.

— Ja to już właśnie i sam myślałem — odrzekł murzyn.

— Tak, tak, nie ulega wątpliwości, to jest szczekanie psa — mówił Serce prawe po dłuższej chwili uważnego nadsłuchiwania.

— Ale w takim razie to pies Dika!

— I ja tak myślę.

— Ach, panie! czyż nie pośpieszymy do niego?

— Trzeba czekać do rana.

— A jeżeli pies tym szczekaniem wzywa ratunku? Może pan jego znajduje się w wielkiem niebezpieczeństwie!

— Na to niema rady.

— Ależ panie...

— Nie rozumiesz tego, że my sami narazilibyśmy się na najokrutniejsze niebezpieczeństwa, gdybyśmy niebacznie wędrowali po nocy wśród puszczy.

Murzyn milczał przez chwilę, wreszcie odezwał się błagalnym tonem:

— Jabym chciał pana o coś prosić.

— O co? mów śmiało.

— Niech mi pan pozwoli iść samemu! ja doskonale słyszę szczekanie psa i pójdę prosto w tę stronę. Nie mogę słuchać tego bezczynnie!

— Idź, jeżeli chcesz koniecznie. Ale raz jeszcze ci powtarzam, że nim Dika uratujesz, sam zginąć możesz bardzo łatwo.

— Mniejsza o to! ja się nie boję! — odrzekł murzyn, oddalił się szybkimi krokami.

— To dobrze — mruknął myśliwiec sam do siebie — odważny, dzielny, najpoczciwszy w świecie chłopak — i mówiąc to wziął strzelbę do ręki i śpiesznym krokiem podążył za Cezarem.

— Poczekaj tam na mnie! zawołał donośnym głosem.

— Jakto? czy pan już inaczej się namyślił? — wykrzyknął murzyn radośnie i pobiegł do swego pana.

— Namyśliłem się; dalej, w drogę!

— O, jakiż pan dobry, jaki bardzo dobry!

I obaj śpiesznie biegli w stronę, skąd ciągle, dawał się słyszeć głos psa. Teraz, nie mogli nawet wątpić, że to pies tak poszczekiwał i wył żałośnie, jakgdyby w przystępie trwogi.

— Jak się nazywały psy, które pan twój zostawił w osadzie? — zapytał myśliwiec.

— Sułtan i Nero, proszę pana.

— A czy na głos twój przybiegały?

— Jeden tylko Sułtan, tamte wszystkie nie cierpiały Cezara.

W tej chwili byli już niedaleko miejsca, skąd dochodziło wycie psa, dziwnie złowrogo brzmiące wśród tej dzikiej puszczy i głuchej nocnej ciszy.

Murzyn począł wołać z całej siły. Potem umilkł, — pies także się nie odzywał więcej.

— Teraz jestem pewny, że to rzeczywiście ten Sułtan — rzekł myśliwiec — zawołaj jeszcze, ale łagodnie, pieszczotliwie.

Cezar usłuchał i po kilkakroć powtarzał imię Sułtana.

— Pies już biegnie — mówił myśliwiec — wołaj jeszcze.

— Sułtan tu, tu Sułtan! — wołał murzyn, a w tejże samej chwili ogromne psisko wyskoczyło z zarośli i stanęło przd naszymi wędrowcami. Był to rzeczywiście Sułtan. Po chwili odskoczył, podbiegł w stronę, z której przybył i znów się zawrócił, powtarzając to kilkakrotnie.

— Teraz i chłopca odnajdziemy niezadługo — szepnął myśliwiec i podszedł za psem.

— O Boże! żebyż tylko nie zapóźno — rzekł Cezar głosem wzruszonym.

Szli przez czas jakiś w milczeniu; wreszcie Serce prawe zatrzymał się i pochylił do ziemi.

— Co pan tam zobaczył? — spytał murzyn niespokojnie.

— Chłopca.

— O mój Boże! czy nie żyje?

— Nie wiem jeszcze, zobaczymy.

Myśliwiec podniósł się; trzymał on teraz Dika na silnych swych rękach. Głowa chłopaka zwieszona była bezwładnie, jak u trupa. Serce prawe wyniósł go z zarośli i położył na posłaniu z mchu i liści, poczem przyłożył ucho do piersi chłopca.

— Żyje — rzekł wreszcie Serce prawe.

— Żyje! Dzięki Ci Boże! — wykrzyknął murzyn i w uniesieniu radości dał potężnego susa.

— Nie ciesz się zawczasu — mówił myśliwiec poważnie — życie jego wisi na włosku, i to tak cienkim, że w jednej chwili może być po wszystkiem.

—O, panie! trzeba go ratować!

— Przedewszystkiem poszukaj gdzie wody.

Murzyn popędził, jak jeleń; nie upłynęło i dziesięciu minut, a już powrócił z naczyniem napełnionem wodą. Myśliwiec bryznął nią silnie w twarz omdlałego chłopca i parę kropel wlał mu do gardła. Nakoniec Dik otworzył oczy i westchnął głęboko.

— O, jakiż ja głodny — wyszeptał po chwili, ledwo dosłyszalnym głosem.

— Nie dziwię się temu — rzekł myśliwiec dźwięcznym, spokojnym głosem.

— Ojcze! — wykrzyknął chłopak, otwierając oczy i podnosząc się z wysiłkiem.

— Nie jestem twoim ojcem — mówił tamten łagodnie, ale gotów jestem tymczasem zastąpić jego miejsce. Masz tu kawałek mięsa.

— Gdzie ojciec? — spytał Dik, zajadając chciwie.

— Ojca twego tu niema — odpowiedział Serce prawe — nie wiem, gdzie się obecnie znajduje.

— Więc ojciec ciebie nie schwytał, Cezarze? — pytał znów Dik — skądże ty się tu wziąłeś?

— Ten pan, dobry pan, Serce prawe, uratował mię od śmierci i teraz do niego należę.

Tu murzyn opowiedział w kilku słowach swoje przygody. Dik słuchał w milczeniu i żarłocznie połykał kawałki mięsa, które mu Cezar do ust wkładał.

— Dosyć — rzekł myśliwiec — nie można mu na raz dawać jeść tak dużo.

— Mogę poczekać — odrzekł chłopiec — już nie jestem tak okropnie głodny i czuję się zupełnie dobrze.

— To dobrze, jeżeli to tylko głód tak cię osłabił, będziesz jutro zdrów. Pójdże teraz z nami do naszego obozu, tam wygodniej się wyśpisz, — oprzyj się na Cezarze!

Dik musiał sobie przypomnieć okrutną swoją jazdę na murzynie, gdy ten poczciwiec z największą troskliwością go podtrzymywał i przybywszy do obozu, pomagał mu ułożyć się na miękkiem posłaniu z mchu i liści.

9. Twierdza.

Nazajutrz o świcie Dik obudził się jednocześnie z myśliwcem i Cezarem. Chociaż czuł się bardzo osłabiony, nie wątpił jednak zrazu, że będzie mógł puścić się w drogę z obu towarzyszami, których mu Opatrzność zesłała. Lecz okazało się wkrótce, iż przecenił swe siły: postępował z wielką trudnością, dysząc ciężko i ledwo nogami włócząc, co nie uszło uwagi myśliwca.

— Cóż robić — rzekł on, zwracając się do Dika — musisz dziś wypocząć, mój chłopcze, rozłożymy tu obóz, a jutro, gdy będziesz silniejszy, powędrujemy dalej.

Zatrzymali się na szczycie wzgórza, w cieniu kilku wyniosłych drzew. Na zachód ciągnął się rozległy step, z innych stron las bezgraniczny otaczał wzgórze.

— Jakież to pyszne miejsce na obóz — rzekł Cezar, usiłując pocieszyć zasmuconego Dika.

— W rzeczy samej niezłe — odparł Serce prawe — teraz przedewszystkiem trzeba pomyśleć o jakiejś większej zwierzynie. Zostań tu z chłopcem, Cezarze, a ja powrócę do tej polanki, gdzieśmy nocowali, bo spostrzegłem tam ślady całej gromadki jeleni.

I zaledwie wymówił te słowa, puścił się w drogę, a Dik z Cezarem pozostali sami. Pierwszy z nich był niezmiernie milczący, tylko wzrok jego często ze szczególnym wyrazem wzruszenia zatrzymywał się na uśmiechniętej twarzy murzyna.

— Chodź, usiądź tu przy mnie — odezwał się wreszcie Dik.

— Panicz jest bardzo dobry dla Cezara — odpowiedział murzyn, siadając przy dawnym swoim prześladowcy.

— A najpierw proszę cię, nie nazywaj mnie paniczem, tylko po prostu mów mi po imieniu, „Diku“ — zrobisz mi tem wielką przyjemność.

— Czy panicz szczerze to mówi?

— Najzupełniej szczerze. Jestem młodszy od ciebie i niczem nie lepszy.

— Co też Dik mówi! Ja jestem tylko biedny murzyn.

— Jesteś najzacniejszy w świecie chłopak, dobrem za złe mi odpłacasz! Ach! Cezarze, czy to być może, żebyś ty naprawdę mnie i bratu memu zupełnie przebaczył okrutne postępowanie nasze z tobą?

— Cezar o wszystkiem zapomniał, — niechże i Dik nie wspomina o tem więcej.

— I nie masz żadnej nienawiści do nas?

— Najmniejszej, wierzaj mi, Diku.

— Podajże mi rękę na znak zgody i przyjaźni.

Uścisnęli sobie dłonie serdecznie i swobodnie gawędzić zaczęli.

W parę godzin powrócił myśliwiec, niosąc na plecach tłustego, młodego jelonka. Oczy jego radością błysnęły, gdy spostrzegł poufały stosunek obu chłopaków. Dik tymczasem umilkł znowu, zamyślił się głęboko i parę razy westchnął z wyraźnym smutkiem.

— Myślisz zapewne o rodzinie — ozwał się Serce prawe, — nie martw się jednak i nie trwóż zbytecznie. Mam nadzieję, że ich wszystkich z pomocą Bożą wyswobodzimy. Nie trapże się więc smutnemi myślami, bo to źle wpływa na zdrowie, a ty potrzebujesz siły odzyskać, abyś nam mógł towarzyszyć. A teraz nam opowiedz jakim sposobem udało ci się wyrwać z rąk dzikich Pawnisów.

Dik zaczął opowiadać w te słowa:

— Nie mieliśmy jeszcze czasu zamknąć za sobą drzwi mieszkania, gdy Indjanie wpadli tam razem z nami. My z Benem biegliśmy najprędzej. Ja wdrapałem się po drabinie na strych i ukryłem się pod stosem kukurudzy tam złożonej. Wstyd mi bardzo, że nie próbowałem nawet ratować kochanej mojej siostrzyczki, lecz z przerażenia zupełnie straciłem przytomność. Gdy przyszedłem do siebie, cicho było w całym domu, słyszałem tylko trzaskanie, jakby palącego się drzewa i dym okropny mnie dusił. Przerażony, wyskoczyłem z mojego ukrycia; miałem przy sobie strzelbę i rożek z prochem. Pobiegłem do drabiny, ale cała już stała w płomieniach. Tą drogą uciekać nie mogłem. Wybiegłem więc na dach i stamtąd zobaczyłem dom cały w płomieniach. Nie było innego ratunku, jak zeskoczyć z dachu na dziedziniec, a że to było niezbyt wysoko, nic mi się złego nie stało.

Tak okropnie obawiałem się pogoni Indjan, że zeskoczywszy z dachu, pędem uciekłem do lasu. W lesie spotkałem poczciwego Sułtana; ucieszyłem się niezmiernie na widok wiernego psa, a i on także witał mnie z wielką czułością.

Później dopiero przyszło mi na myśl, że ojciec z Janem wrócą do osady, że więc nie należy się od tego miejsca oddalać. Kilka dni i nocy spędziłem przy zgliszczach naszego domu, czekając na ojca i Jana, a co

wycierpiałem, i wówczas, i potem błądząc w puszczy, tego wypowiedzieć nie potrafię.

— Wierzę ci, biedaku — rzekł myśliwiec — ciężkie was wszystkich nawiedziły ciosy. Lecz z wolą Boga zgodzić się potrzeba; on wie, co czyni, pewnie też nie bez celu nieszczęście to zesłał na was.

— O tak — mówił Dik wzruszonym głosem — Bóg nas ukarał ciężko, lecz sprawiedliwie. I ja i brat mój Ben zawiniliśmy bardzo. O, jakże jesteśmy upokorzeni i zawstydzeni!

— To dobrze, mój chłopcze, żeś sam już przyszedł do tego przekonania.

— A Serce prawe tyle sobie trudu zadał, aby mię odszukać i uratować. I ten murzyn poczciwy, z którym obchodziłem się tak okrutnie, stał się moim wybawcą. O mój Boże!

— To dobrze, nie mówmy już o tem. Teraz musimy się namyślić, jakim sposobem wyrwać twoją siostrę ze szponów Pawnisów. Mam już pewien pomysł. Jestem zaprzyjaźniony z innem plemieniem indyjskiem, niemniej potężnem, noszącem nazwę Osagów. Osagowie są odwiecznymi nieprzyjaciółmi Pawnisów i byłem tylko poprosił ich o to, natychmiast wypowiedzą im wojnę, ja zaś pójdę razem z nimi.

— O Boże! Serce prawe chciałby to uczynić, by siostrzyczkę moją wyswobodzić? — zawołał Dik, składając ręce — czemże my potrafimy wywdzięczyć się za takie poświęcenie!

— To nie jest żadne poświęcenie — rzekł myśliwiec. — Powinniśmy przychodzić bliźnim z pomocą w potrzebie, — to obowiązek chrześcijański.

— Ileż dni iść potrzeba, aby się tam dostać? — zapytał murzyn.

— Nieraz, gdy okoliczności wymagały pośpiechu, przebywałem tę przestrzeń w tydzień, a nawet i prędzej. Teraz także radbym się dostać jak najśpieszniej do moich przyjaciół czerwonoskórych.

(Dalszy ciąg nastąpi).





Poradnik gospodarczy.

Przy hodowli świń musimy kalkulować, jaki rodzaj dla gospodarstwa się opłaca i czy nam odpowiedniej karmy wystarczy. Stosownie do tego rozpoczynamy albo chów macior na prosięta, które po 8—10 tygodniach sprzedajemy, albo kupujemy małe prosięta i te chowamy na t. zw. warchlaki, a po nabraniu przez nie mięsa, sprzedajemy na szynki i mięso lub wreszcie kupujemy starsze świnie i te tuczymy na słoninę.

Hodowla świń rozpłodowych przynosi największe zyski, ale i inne działy również dużo przyczyniają dochodu o ile wybierze się odpowiednie do danej hodowli gatunki świń. U nas najlepiej do wszystkich działów nadaje się rasa angielska Vorkshir'ów, skrzyżowana z naszą rasą krajową. Pielęgnowanie macior rozpłodowych nie przedstawia żadnych trudności. Zjadają one wszystką karmę, czy to złożoną z roślin, czy też ze śrutu zbożowego. Napojem są dla nich pomyje, mleko lub woda. Do strawy roślinnej dobrze przydać jest trochę plew jęczmiennych, doskonale jednak sparzonych wrzącą wodą, gdyż świnie chętnie je jedzą i znoszą taką karmę zupełnie dobrze. Ważną jest rzeczą, by świniom nie dawać całego surowego ziarna, jako karmy, ale je dobrze zemleć lub zgotować i dopiero podawać.

Świnia, to bardzo schludne stworzenie, odchody swoje składa w jeden kąt i nigdy nie kładzie się na nie, jak to czynią inne zwierzęta. Lubi pławić się w czystej wodzie, a dopiero w braku tejże tarza się w błocie. Jest więc zupełnie niesłusznie nazwana najniechlujniejszem ze zwierząt. Powinno się pamiętać o świeżej ściółce, a nawet o wymyciu jej, gdyż czystość dokoła niej wypływa doskonale na zdrowie i apetyt

Do rozpłodu używa się lochy młode, do lat trzech, gdyż w tym wieku są najlepsze. Później dają mniej prosiąt i drobniejsze. Lochy starsze należy utuczyć i sprzedać, lub zabić na własny użytek.

Na mięso i szynki wybiera się sztuki małe, rosnące szybko. Należy je tak żywić, by się u nich rozwijały głównie mięśnie, a to uzyskamy, karmiąc je przeważnie karmą zieloną z małym dodatkiem śrutu zbożowego. Prosięta, tak żywione, już w 10-tym miesiącu osiągają swój największy rozwój i mogą być sprzedawane na mięso i szynki.

Na słoninę wybiera się sztuki starsze ponad 10 mies. Do tuczenia świń służą: ziemniaki, buraki i marchew, zmieszane ze śrutowanem zbożem. Tuczone na słoninę świnie muszą stale przebywać w zamknięciu, gdyż ruch utrudnia tworzenie się pokładów tłuszczu. Sztukom tym należy dawać jeść 3 razy na dzień. Z początku dawać karmę złożoną z ziemniaków z niedużym dodatkiem grubej mąki, zwanej ospą. W miarę tuczenia i zwiększenia się apetytu zwiększa się ilość dodawanej ospy. Bardzo dobra do tego celu jest ospa jęczmienna. Świniom w czasie tuczenia należy dostarczać wody do picia. Nawóz trzeba wyrzucać często i świnie obmywać letnią wodą. Dobre tuczenie powinno trwać do 3-ch miesięcy. Jeżeli świnia w czasie tuczenia traci apetyt, należy jej dać parę garści owsa namoczonego w soli lub trochę sproszkowanego węgla.

Podobnie, jak inne zwierzęta, podpadają i świnie różnym chorobom, a nawet część tych chorób jest w wysokim stopniu zaraźliwa. Do niezaraźliwych chorób, najczęściej spotykanych należą: rozwolnienie, paraliż, spowodowany złą paszą, zapalenie gardła, objawiające się nabrzmieniem podgardla, utrudniającem oddychanie, tak, że prosię się dusi, dalej zatwardzenie, wągry i trychina, na którą niema dotychczas skutecznego lekarstwa.

Do chorób zaraźliwych należą: różyca, która dziesiątkuje nasze świnie, i jest największą klęską w hodowli świń. Przeciw niej wynaleziono szczepionkę, która oddaje znakomite usługi. Najgorszą jednak chorobą, która w naszym kraju czyni straszne wśród świń spustoszenia, jest pomór, choroba płuc i kiszek, bardzo zaraźliwa i niebezpieczna. Zarazą racic i pyska objawia się i leczy, jak u bydła rogatego.

Jan Matysik.

Wiadomości polityczne.

Z sejmu. W ubiegłym tygodniu obradowały przeważnie komisje sejmowe. Najbardziej interesujące były obrady komisji konstytucyjnej i administracyjnej.

Komisja konstytucyjna rozważała sprawę zmiany ordynacji wyborczej do sejmu i senatu. W sprawie tej wniesiono do sejmu cztery wnioski, a mianowicie Zjednoczenia ludowo-narodowego, Chrześcijańskiej demokracji, Stronnictwa ludowego »Piast«. We wniosku swym Związek ludowo-narodowy żąda zmniejszenia liczby posłów do 224 i 56 senatorów (dotąd jest 444 posłów i 111 senatorów), zaś Chrześcijańska Demokracja domaga się zmniejszenia tej liczby do 320 i 80. Tej samej liczby posłów żąda Stronnictwo narodowe, ale z tem, żeby cała Polska tworzyła jeden okręg wyborczy. „Piast" chce ograniczenia liczby posłów do 300, z czego szósta część pochodziłaby z listy państwowej, reszta z wyborów. Okręgi byłyby jednomandatowe, tylko w województwach mieszanych wielomandatowe. Jakkolwiek samo zmniejszenie liczby posłów nie usunie zła, jakie się wkradło do naszego sejmu, jest ono przecież z wielu względów konieczne. Naszem zdaniem jeszcze ważniejszą rzeczą byłoby wprowadzenie dla posłów jakichś obostrzeń, aby się do sejmu nie mogli dostawać ludzie źli, przekupni i głupi, jacy niestety przy tak demokratycznych wyborach, jak w Polsce dotychczas, łatwo się tam mogą wcisnąć. Jaki będzie wynik, trudno przewidzieć, gdyż stronnictwa prawicowe nie są w tej sprawie zgodne, a lewica zupełnie nie chce zmiany ordynacji wyborczej.

Również ważne były obrady komisji administracyjnej, mające na celu przedyskutowanie ustaw samorządowych. Dużo zależało od tego, jaie stanowisko zajmie rząd w tej sprawię. Ale zaraz na pierwszem posiedzeniu tej komisji przedstawiciel rządu oświadczył, że rząd będzie narazie przypatrywał się, co sejm uczyni w tej sprawie, a dopiero później ze swej strony coś postanowi. Komisji oświadczenie to nie podobało się, to też odroczyła swe posiedzenia na tydzień i zażądała, aby rząd przyszedł po tygodniu z wyraźnem oświadczeniem się. Wówczas przedstawiciel rządu złożył oświadczenie, że rząd nie wierzy w przeprowadzenie ustaw samorządowych w sejmie, który jest na schyłku swego istnienia. Mimo to rząd uznaje obecny stan za bezprawny i w tym celu zamierza przeprowadzić wybory do Rad gminnych i powiatowych w środkowej Małopolsce po San na podstawie starej galicyjskiej ustawy w 4 kołach wyborczych, zaś od Sanu na wschód w 3 kołach wyborczych. Wybory do Rad powiatowych, czyli, jak się tam nazywają, Sejmików powiatowych w b. Kongresówce odbyłyby się na podstawie dekretu Naczelnika Państwa z 1918 r., w myśl którego Rady gminne wysyłałyby do Sejmiku po dwóch reprezentantów z każdej gminy.

Na takie załatwienie sprawy nie zgodziła się prawica i socjaliści, wobec czego postanowiono dalej prowadzić obrady w komisji nad ustawami samorządowemi. Obrady te toczą się dalej i potrwają zapewne czas dłuższy.

O porozumienie polsko-niemieckie. W sprawie wznowienia rokowań handlowych polsko-niemieckich pośredniczy francuski prezydent ministrów Briand. W tym celu odbył on w Genewie z ministrami spraw zagranicznych polskim i niemieckim Zaleskim i Stresemannem konferencje. Zdaje się, że przy pomocy Anglji i Francji rokowania te zostaną wznowione.

Z Rady Ligi Narodów. W poniedziałek rozpoczęła się sesja Rady Ligi Narodów, która potrwa tylko 5 do 6 dni. Oficjalny program prac posiedzenia Rady obejmuje tylko 2 ważne punkty, a mianowicie kwestję Zagłębia Saary i sprawę polsko-niemieckich stosunków na Górnym Śląsku. W tej ostatniej sprawie chodzi głównie o organizację szkolnictwa mniejszościowego na Górnym Śląsku. Niemcy występują w charakterze oskarżyciela, twierdząc, że Polska łamie konwencję genewską, sprzeciwiając się otwieraniu niemieckich szkół mniejszościowych w polskiej części Górnego Śląska. Szczególne zainteresowanie wzbudza zapowiedziana prezydentura Stresemanna w Radzie. Nie ulega wątpliwości, że niezależnie od narad przy stole konferencyjnym Rady, genewskie spotkanie ministrów spraw zagranicznych wykorzystane zostanie dla ożywionych rozmów zakulisowych. Być może, że Stresemann poruszy w rozmowie z Briandem sprawę opróżnienia Nadrenji. Jest rzeczą pewną, że Stresemann i Schubert konferować będą z min. Zaleskim w sprawie całokształtu stosunków polsko-niemieckich. Także ministrowie spraw zagranicznych Małej Ententy mają odbyć wspólną konferencję w sprawie zniesienia kontroli wojskowej na Węgrzech. Prywatne rozmowy pomiędzy Briandem, Chamberlainem, Stresemannem i Zaleskim rozpoczęły się już w ubiegłą niedzielę.

Nowy król. Jak donoszą z Belgradu, pomiędzy Anglją a Włochami osiągnięto porozumienie, wedle którego prezydent Albanji Achmed Bey Zogu ma się koronować w dniu 27 czerwca br. na króla Albanji.

Fortyfikowanie Petersburga. Według wiadomości otrzymanych z Petersburga, władze sowieckie gorączkowo fortyfikują to miasto, na otaczających fortecach ustawione zostały nowe baterje. Wszystkie armaty 12 calowe zamieniono na 14 calowe. Fortyfikowanie Petersburga tłómaczą w sferach rządowych tem, że bałtycka flota sowiecka nie jest w stanie w wypadku wojny skutecznie obronić Petersburga przed flotą angielską.

Walki w Chinach. W poprzednim numerze »Roli« donosiliśmy o porozumieniu między wojskami północnemi i południowemi w Chinach. Porozumienie to okazało się jednak tylko na papierze, gdyż, jak donoszą z Szanghaju, wojska Sun Czuan Fanga (tak zwana armją Szantungu) opuściły wszystkie pozycje i albo przeszły do armji kantońskiej albo cofają się nieregularnie do Szanghaju, tworząc dla miasta poważne niebezpieczeństwo. Uciekinierzy ci usiłowali już kilkakrotnie zaatakować dzielnicę cudzoziemską w Szanghaju tak, że wojska angielskie musiały przeciw nim występować z bronią w ręku. Dowództwo nad armją Szantagu po ustąpieniu Suna objął jeden z jego podwładnych generałów. W Szangaju liczą się z zajęciem miasta przez wojska kantońskie, których marsze flankowe pod Su Czau uwieńczone zostały powodzeniem.

Chiński minister spraw zagranicznych wystosował do posłów europejskich list, w którym żąda wycofania wszystkich obcych wojsk z Chin, gdyż wojsk obcych na swem terytorjum Chiny absolutnie nie ścierpią.



KRONIKA.

Organizacja na wsi. Z Jasła piszą nam: Dnia 28 stycznia b. r. został zawiązany Pow. Zw. Zaw. Roln. w Jaśle. Pow. prezesem wybrany został radca sądu Kazimierz Twarduś, zastęp. Jan Rączka, skarb. Feliks Zygłowicz, sekr. Leon Filipek.

Czas letni w Polsce. Wicepremjer Bartel zapowiedział na posiedzeniu Rady ministrów, że na najbliższem posiedzeniu wniesie projekt wprowadzenia czasu letniego, któryby obowiązywał od 1 kwietnia do do 1 października.

Nowy biskup w Łodzi. Według nadesłanych z Rzymu wiadomości, papież mianował ks. Dra Kazimierza Tomczaka, profesora seminarjum metropolitalnego warszawskiego, biskupem sufraganem w Łodzi. Ks. Dr Tomczak urodził się w r. 1883, po ukończeniu gimnazjum OO. Jezuitów w Chyrowie, seminarjum duchownego w Warszawie i akademji duchownej w Petersburgu, otrzymawszy święcenia kapłańskie, pełnił obowiązki wikarjusza w Słomczynie, a następnie przy archikatedrze św. Jana w Warszawie.

Straszny wypadek. W Łodzi zdarzył się onegdaj straszny wypadek, którego sprawcą był czteroletni chłopczyk. Przy ul. Nowaka mieszkał robotnik tkacki nazwiskiem Artur Meteor, mówiąc nawiasem, pijak nałogowy. Onegdaj po ukończonej pracy Meteor znowu poszedł do szynku, skąd wrócił w stanie mocno pijanym, tak, że położył się na łóżku i wnet zasnął. Gdy żona wyszła z mieszkania, 4-letni synek Meteora wdrapał się na łóżko ojca i począł się bawić włosami śpiącego a po pewnym czasie wyjął ojcu z kieszeni ołówek, którym mocno uderzył w powiekę śpiącego. Meteor zerwał się ze snu, lecz wnet z oka popłynęła krew i ciecz z rozlanej gałki. Zawezwany lekarz skonstatował wypłynięcie kompletne prawego oka.

W obronie życia. Przed kilku dniami w nocy w Bydgoszczy trzech opryszków napadło na przechodzącego t. zw. czarną drogą, łączącą dworzec główny z przedmieściem Okole, kupca Marciniaka, usiłując go obrabować. Marciniak, widząc się osaczonym, począł uciekać w stronę ulicy Jasnej, strzelając na postrach w powietrze. Nie przestraszyło to jednak napastników, którzy dopędzili go przy zbiegu ulicy Jasnej i Śląskiej. Napadnięty, nie widząc innego wyjścia, strzelił w obronie życia w stronę bandytów, kładąc jednego z nich, Osta, trupem na miejscu. Pozostałych opryszków w kilka godzin ujęto i aresztowano. Trupa zabitego przewieziono do kostnicy miejskiej.

Pies odkrywcą zbrodni. Jefimja Mielnikowa, zamieszkująca we wsi Stepangródek, w pow. sarneńskim, zameldowała przed kilku dniami na posterunku policji w Chiniczy, że mąż jej, handlarz nierogacizny, wyjechawszy jeszcze w grudniu ubiegłego roku z 2.200 zł. po towar, dotychczas nie powrócił. W czasie śledztwa zaobserwowano rzecz niezwykłą. Oto pies Mielnikowa wył żałośnie co wieczór na podwórzu, a potem biegł do Chiniczy, pod las, gdzie skomląc cicho lub warcząc groźnie, rozkopywał łapami zasypany dół po kartoflach. Zaciekawieni tem policjanci postanowili dół rozkopać. Zaraz po pierwszych uderzeniach łopaty trupi zaduch wionął z ziemi. W dole leżały straszliwie zniekształcone zwłoki Mielnikowa. Przy oględzinach stwierdzono brak całych 2.200 zł. i zegarka. Wobec niewątpliwych śladów morderstwa, policja wszczęła energiczne dochodzenia celem wykrycia zbrodniarzy.

Bohaterski czyn. W ubiegłym tygodniu trzech chłopców w porcie zimowym w Toruniu urządziło sobie jazdę na krze lodowej w basenie portowym. W pewnej chwili kra się przechyliła i wszyscy trzej chłopcy wpadli do wody, głębokiej w tem miejscu na parę metrów.



Mieszkający opodal właściciel hurtowni tytoniowej p. Szwiec, obserwując cały wypadek z okna mieszkania, momentalnie przybiegł na miejsce i w ubraniu z narażeniem życia skoczył do basenu. Dwóch chłopców wyratował, trzeciego, nazwiskiem Żywot Marjan, lat 9, wydobył również na brzeg, jednakże przybyły lekarz skonstatował u niego śmierć wskutek udaru serca.

Ludożercy. Policja w Koszycach na Słowaczyźnie wykryła, że banda cyganów, pochodząca ze wschodniej Słowaczyzny, a zostająca pod wodzą niejakiego Filko, od dłuższego czasu dopuszczała się morderstw, przyczem pomordowane ofiary gotowała i spożywała. Na ślady tego strasznego odkrycia przyszła policja skutkiem zdrady jednego z członków bandy, niejakiego Rybara, który, zresztą jedyny w bandzie umiejący czytać i pisać, nie wiadomo czy z osobistej zemsty, czy też z powodu wyrzutów symienia, doniósł władzom, że Filko od szeregu lat dopuszczał się ludożerstwa. Na podstawie tych doniesień policja koszycka uwięziła bandę Filki, liczącą 12 mężczyzn i 14 kobiet i dzieci. Już pierwsze dochodzenia wykazały prawdziwość zarzutów, a nadto przesłuchiwani cyganie zupełnie otwarcie przyznali się do swych potwornych postępków. Sam Filko przyznał się do zamordowania i zjedzenia czterech kobiet i jednego mężczyzny, poszukiwania policyjne jednak ustaliły już 12 morderstw, popełnionych przez bandę. Charakterystyczne jest, że przesłuchiwani cyganie nietylko nie zapierają się ludożerstwa, ale mówią o tem jako o rzeczy zupełnie naturalnej, opowiadają cynicznie, jak mordowali, ćwiartowali zwłoki, gotowali je i zjadali, przyczem w toku zeznań śmieją się swobodnie. Władze na Słowaczyźnie prowadzą dalsze dochodzenia dla stwierdzenia ilości morderstw popełnionych przez bandę i odniosły się w tej sprawie do władz węgierskich, dla podjęcia dochodzeń na Węgrzech, zachodzi bowiem przypuszczenie, że wiele ofiar pochodziło z Węgier.

Indyjska kapłanka w Wiedniu. W stolicy Austrji przebywa obecnie Terefren Laila Hanoum, indyjska kapłanka i jedyna fakirka, jaka wogóle istnieje. Jest to kobieta nie przeciętnej piękności: majestatyczny wzrost, wielkie, szare, dobrotliwe oczy, czarujący spokój i dostojność w ruchach, oto jej zalety piękności. Posiada ona zdolność wprowadzania się w stan hypnotyczny, podczas którego połyka własny język. Trzy razy w życiu umarła pozorną śmiercią. Stan ten zawsze naprzód przeczuwała. Ciało jej nie zawiera ani śladu ukłucia lub blizny, jakkolwiek tysiące razy było przebijane szty-

letami, lecz zawsze bez upływu krwi. Terefren wiezie z sobą zawsze żółwia, węża, kota i małego białego psa. Są to „święte indyjskie zwierzęta“, służące do wykonywania sztuk magicznych. Jest ona ostatnim potomkiem starego indyjskiego rodu i braminką, dlatego nie wolno jej wychodzić zamąż. Posiada ona jakiś dar jasnowidzenia, dzięki któremu zdołała przepowiedzieć przyszłość wielu osobistościom. Byłemu cesarzowi Karolowi przepowiedziała upadek Habsburgów i jego rychłą śmierć. Zeszłego roku przepowiedziała ces. Zycie, że jej syn nigdy nie osiągnie tronu. Ekscesarzowi Wilhelmowi obwieściła jeszcze w r. 1911 wielki przewrót w Niemczech. Słynnemu rumuńskiemu lotnikowi Blaicu przepowiedziała śmierć na trzy dni przed katastrofą, w której zginął, i prosiła go, aby się wstrzymał ośm dni ze swym lotem. Blaicu nie dał się nakłonić i zginął. Greckiego generała Pangalosa ostrzegała w swoim czasie, aby nie wsiadał na okręt, ponieważ to pozbawi go wolności. Pangalos nie posłuchał ostrzeżenia i teraz przebywa na Krecie, jako więzień stanu. Również przepowiedziała Mussoliniemu, że nigdy go nie spotka śmierć z ręki skrytobójcy. O oto przepowiednie jej na rok 1927. Dla Anglji, Rumunji, Austrji, Węgier i Rosji rok ten będzie pomyślny. Dla Jugosławji i Niemiec mniej. Chiny zdobędą po zakończeniu się niepokojów należną im pozycję. Podczas kryzysu francuzkiego udzielała rządowi francuskiemu cennych rad, za co otrzymała odznaczenie francuskiej republiki. Fakirka mówi 18 językami, a wśród wielu innych talentów, ma i ten, że umie hypnotyzować... tygrysy.

Dziecko o trzech głowach. We wsi Zwolin, na Wileńszczyźnie, jedna z włościanek powiła dziecko, będące fenomenem medycznym. Dziecko miało bowiem trzy głowy i mimo to żyło.



Śmierć nastąpiła dopiero w pół godziny. Miejscowy lekarz zrobił zdjęcie fotograficzne dziecka.

Generał kupcem. Były węgierski minister wojny generał Stefan Szreter wystąpił z wojska, zrzekł się rangi wojskowej. Były generał zamierza na przyszłość poświęcić się w zupełności karjerze kupieckiej, będąc widocznie przekonanym, że jako kupiec zarobi więcej, niż jako generał i bohater narodowy. Zrzeka się tytułu generała, ponieważ twierdzi, że nie godzi się, aby oficer-kupiec godność tę nadal zatrzymywał.

Pociąg „zbożowy“. „Towarzystwo orleańskie“ wpadło na szczęśliwy pomysł użycia do propagandy rolniczej... pociągu. Odpowiednio wyposażony w eksponaty pociąg ten wiezie również prelegentów, wygłaszających fachowe odczyty. Rolnicy francuscy, nie opuszczając miejsca zamieszkania, mogą zapoznawać się z najnowszemi zdobyczami rolnictwa, tudzież słuchać odczytów, toteż tłumnie spieszą do stacyj, w których pociąg się zatrzymuje. Dotąd objechał on 3 departamenty.

Admirał księdzem. Dawniejszy admirał floty francuskiej Malcour (Malkur), liczący obecnie lat 63, który swego czasu otrzymał różne honorowe oznaki za swą dzielność, a następnie wstąpił do zakonu Białych Ojców, ukończył przepisane studja teologiczne i został wyświęcony na księdza. Wróciwszy niedawno z Tunisu do Francji, odprawił w Tulonie pierwszą mszę świętą w obecności wielu dawniejszych towarzyszów.

Oryginalna walka z pornografją. Na bruku paryskim popularną od jakiegoś czasu stała się postać pewnego księdza, nazwiskiem Bethleem. Kapłan ten, oburzony nieobyczajnemi publikacjami i rysunkami, jakie spotyka u licznych handlarzy książek, w kioskach z gazetami i t. p., przechodząc ulicą, chwyta taką niemoralną publikację czy rycinę i drze ją na drobne kawałki w oczach przerażonego sprzedawcy i gromadzącego się na prędce tłumu. Niejednokrotnie z tego powodu wchodzi ów ksiądz w przykre konflikty z handlarzami. Tak stało się przed paru dniami. Kapłan, zauważywszy jakąś pornograficzną rycinę w kiosku przy ulicy de Sevres, podarł ją gwałtownym ruchem na miejscu. Kupiec upomniał się o zapłatę za zniszczone w ten sposób „arcydzieło“; oburzony ksiądz zapłaty odmówił, natomiast pozwolił spokojnie odprowadzić się do komisarjatu policji, gdzie złożył pisany na maszynie artykuł, motywujący cele swej „kampanji z pornografją“.

Lwica w łóżku. Z pewnego cyrku pod Paryżem w czasie przedstawienia udało się zbiec lwicy, która ku przerażeniu publiczności naprzód wpadła na widownię, poczem uciekła na ulicę. Uciekając przed dozorcami, lwica zapędziła się do pewnego sklepu kolonjalnego, którego urządzenie poprzewracała, poczem schodami przeszła do sypialni właściciela sklepu, który właśnie leżał w łóżku. Lwica, nie namyślając się długo, wlazła do łóżka i położyła się obok śpiącego kupca. Była ona widocznie łaskawą, gdyż oparła głowę na piersiach kupca. Można wyobrazić sobie jego minę, gdy po obudzeniu się spostrzegł tak „miłą“ towarzyszkę. Po chwili przybyli dozorcy i zabrali lwicę.

Kościół na samochodzie. Southwartski biskup Amigo powierzył księdzu Atruriwi Dedleye zadanie dosyć trudne. Ma on nawiedzać rozproszonych po całej dyecezji katolików i nieść im posługi religijne. Pomysłowy kapłan wywiązał się z tego zadania w ten sposób, że zainstalował na samochodzie ołtarz, który po niewielkich uzupełnieniach służyć może do spełnienia ofiary Mszy św. W ten sposób kapłan ten dociera do najbardziej oddalonych środowisk, z radością przyjmowany wszędzie przez wiernych.

Córka chłopa żoną lorda. O ile się zdarzy, że jakiś inteligent ożeni się z córką chłopską, choćby najinteligentniejszą i najuczciwszą dziewczyną, to znajomi patrzą na niego jakby na jakiego zbrodniarza. A przecież niejedna panna miastowa często niegodna nawet w rękę pocałować wiejskiej dziewczyny. Inaczej gdzieindziej. Oto przykład: W miejscowości Halland w Szwecji mieszkał swego czasu pewien chłop, który miał córkę niezwykłej piękności, imieniem Ingryda. Ponieważ jednakże rodzice byli biedni, musiała Ingryda iść w świat na służbę. Tak przyszła do stolicy i w jednej z podmiejskich oberży usługiwała gościom do stołu. Przejeżdżał tamtędy w jakiś czas później angielski lord, który zobaczywszy piękną Ingrydę, nie mógł już więcej o niej zapomnieć. Postanowił pojąć ją za żonę.

W tym celu udał się do rodziców dziewczyny, prosząc o jej rękę. Rodzice nie opierali się niespodziewanemu oświadczeniu i biedne dziewczę wiejskie zostało żoną para Anglji, lorda Mannersa St. Georga, dziedziczką na dobrach Hatley, oraz właścicielką wspaniałego pałacu w Londynie. Trzydzieści sześć lat żyli ze sobą szczęśliwie, a Lady St. George nie zapominała nigdy o swojem biednem rodzeństwie. Pewnego razu w upominku na gwiazdkę posłała im dwa „tylko“ miljony szwedzkich koron. Ale o wiele więcej otrzymała jej mała siostrzenica, którą lordostwo wzięli za swoją, ponieważ wcale nie mieli własnych dzieci. Petronela było na imię małej, i ta wyrósłszy na piękną dziewicę, poślubiła angielskiego oficera. Niedawno, bo przed kilku tygodniami umarła, pozostawiwszy wspaniałe zamki, dobra ziemskie i niezliczone miljony w spadku swej rodzinie, a była przecież także tylko biedną dziewczyną, córką szwedzkiego wieśniaka. Trzeba przyznać, że i u nas zdarzają się wyjątki. Oto żony poety Lucjana Rydla i artysty malarza Włodzimisrza Tetmajera były córkami wieśniaków, a przecież cieszyły się ogólnem poważaniem i szacunkiem, na które zasługiwały w zupełności.

Co może miłość? Ludzie, którzy prócz pieniędzy i dobrego jedzenia nie potrafią nic więcej kochać, mogą śmiać się z człowieka, o którym opowiemy poniżej. Ale ludzie, umiejący kochać prawdziwie, będą go żałowali i współczuli z nim. Człowiekiem tym był Michał Kollosy właściciel domu pod Budapesztem na Węgrzech. Otóż ten Kollosy w roku 1900 zakochał się w Malwinie Marmrstein z wzajemnością z jej strony. On jednak był katolikiem a ona żydówką. Kollosy, jako dobry katolik, nie chciał zmienić religji, jej zaś, jako żydówce rodzice nie chcieli zezwolić na przyjęcie chrztu św. Malwina Marmorstein wyszła wkońcu zamąż za Arnolda Gaspara, a odtrącony Kollossy, który w dalszym ciągu Malwinę namiętnie kochał, postanowił stworzyć sobie „namiastkę“ szczęścia, aby przynajmniej łudzić samego siebie. Kupił on przedewszystkiem dom, w którym mieszkali państwo młodzi i zamieszkał naprzeciw nich. Następnie kazał zrobić lalkę woskową w Paryżu według fotografji pani Gaspar i ubierał ją w takie same toalety, jakie nosiła jego ukochana. Gdy prawdziwa pani Gaspar wydała na świat dziecko, Kollosy zamówił natychmiast u swego paryskiego dostawcy dziecko sporządzone z wosku. Tak w ciągu jednego dziesięciolecia żył on jak szczęśliwy ojciec z pięciorgiem dzieci, które zresztą mniej mu sprawiały kłopotów, aniżeli prawdziwe dzieci p. Gaspar. To szczęśliwe życie familijne mógłby Kollosy prowadzić do śmierci, gdyby nie ciekawość ludzka. Zauważono, że Kollosy kupuje damską bieliznę i damskie toalety i to poddało go w podejrzenia. Ciekawi sąsiedzi dotąd śledzili Kollosy'ego, aż wkońcu zbadali rzecz całą. Kollosy przyparty do muru przyznał się do wszystkiego i wiadomość o jego osobliwem małżeństwie obiegła całą miejscowość. Wkońcu policja i lekarz psychjatra zakończyli tę szczęśliwą idyllę. Kollossy'ego umieszczono w szpitalu dla obłąkanych, ale i tam żył on jeszcze przez półtora roku ze swą żoną ulepioną z wosku w otoczeniu woskowej dziatwy. Śmierć dopiero położyła kres tej sentymentalno-warjackiej idylli. Biedny człowiek, a tem biedniejszy, że przecież mógł zająć się jakąś wytężającą pracą, która byłaby oderwała jego myśli od ukochanej kobiety.

Najstarszy świadek w sądzie. Przed sądem tureckim w Konstantynopolu stanął niedawno świadek, który jest bodaj najstarszym człowiekiem w świecie, a w każdym razie najstarszym świadkiem, jaki kiedykolwiek występował w procesie. Jest to Ali Zaro Aga, urodzony w r. 1780, a więc liczący obecnie 147 lat! Starzec ten jest chodzącą historją Turcji XIX stulecia. Najdawniejszem jego wspomnieniem jest wybuch wojny turecko-austrjacko-rosyjskiej w r. 1788, zakończonej pokojem w Sistowie za panowania sułtana Selima III. Równie dobrze pamięta Ali Zaro epokę wojen napoleońskich, rządy Mustafy IV, Mahmuda II, Abd ul Medżida. Im bliżej naszych czasów, tem mniej szczegółów pozostało w pamięci sędziwego Turka, ale w każdym razie pamięć jego jest wprost zadziwiająca, gdyż z zupełną stanowczością ustalił na wspomnianej rozprawie sądowej okoliczności z przed 135 lat! Ali Zaro Aga piastuje w Konstantynopolu honorową godność odźwiernego ratusza.

Bomba w brzuchu psa. Dzienniki amerykańskie donoszą o niezwykłym wypadku, jaki zdarzył się w pobliżu Arisony. Do laboratorjum chemicznego, które obsługuje kopalnie, wypadł pies podwórzowy. Na podłodze znajdowała się otwarta puszka z nitrogliceryną, przeznaczoną do rozsadzania skał. Psisko oblizał puszkę i uznał, że zawartość jej jest słodka i przyjemna w smaku. Nim spostrzegli pracownicy, pies zjadł około dwa funty straszliwej materji wybuchowej. W laboratorjum zapanował popłoch. Co się stanie, jeśli nastąpi wybuch w psim brzuchu? Tymczasem brytan zrozumiawszy, iż popełnił szelmostwo, czmychnął do swego gospodarstwa. W drodze nadarzyła mu się nowa przygoda. Z pod nóg jego śmignął królik. Pies puścił się za nim w pogoń i już miał schwytać nieboraka, hdy w brzuchu nastąpił wybuch. Nitrogliceryna rozerwała brytana na tysiące kawałeczków.

Sąd nad jastrzębiem. Plagą gołębi, które licznie gnieżdżą się pod gzymsami drapaczy chmur w Chicago, są dwa jastrzębie, które zabłąkawszy się do miasta i w niem obrawszy sobie siedzibę, urządzają prawdziwe rzezie obłaskawionych przez mieszkańców gołębi. Jeden z drapieżników unika dotychczas karzącej ręki sprawiedliwości, drugi jednak, mniej ostrożny, został niedawno schwytany i postawiony przed autentycznym sędzią, p. F. Allegrettim. Oskarżyciel prywatny, p. O'Brien, domagał się dla mordercy kary śmierci. Sędzia jednak, uwzględniając cechy dziedziczne ptaka, jako okoliczności łagodzące, postanowił skazać mordercę niewinnych gołębi na dożywotnie osiedlenie w zwierzyńcu Lincolnparku. Tej niezwykłej rozprawie sądowej przysłuchiwały się z uwagą tłumy publiczności, zapełniające salę. Oskarżyciel prywatny zgodził się na wyrok i apelować nie zamierza. Mimowoli ciśnie się tu na usta pytanie, na jaką karę zasługują w Krakowie ci ludzie, którzy wypędzają gołębie z ich długoletnich gniazd i skazują na śmierć okrutną.

Kobiety z wąsami. Wielkie niebezpieczeństwo dla rodu kobiecego zapowiada Dr Joscelyne, redaktor „British-Medical-Journal. Uczony ten dowodzi, iż moda krótkich włosów spowoduje porost wąsów i bród. Córki, a najdalej wnuczki młodych obecnie dam będą musiały na pewno tak samo się golić, jak obecnie czynią to mężczyźni. Dr Josceline przypuszcza, iż obecne pokolenie kobiet odpokutuje już teraźniejszą modę i za kilka lat brodate i wąsate damy nie będą rzadkością. Lekarz angielski opiera swe przypuszczenia na obserwacjach, poczynionych na wyspie Jawie. W niektórych osadach tej ziemi żyją mężczyźni, którzy noszą długie włosy i zwijają je na głowie. Mężczyźni ci nie posiadają zarostu na twarzy. Natomiast kobiety, obcinające włosy wedle obowiązujących tam zwyczajów, obdarzyła natura potężnemi brodami i wąsikami.

Pięciometrowi ludzie. W kolach naukowych budzi zainteresowanie sprawozdanie amerykańskiego archeologa Dra Hrdlicki, przewodniczącego jednego z najsłynniejszych naukowych instytutów w Ameryce. Na posiedzeniu tego stowarzyszenia naukowego, uczony udzielił dokładnych informacyj o interesujących antropologicznych odkryciach, dokonanych w przeciągu dwóch ostatnich lat na amerykańskim terytorjum. Uczony ten wyraża przedewszystkiem przypuszczenie, że Ameryka przed odkryciem jej przez Krzysztofa Kolumba, zamieszkaną była nietylko przez szczepy indyjskie, ale przez różne ludy, jako to: Chińczyków, Japończyków, Polinezyjczyków. Liczne religijne zwyczaje, pozatem na ścianach skalnych wyryte rysunki, zdają się potwierdzać to twierdzenie. Dalej Hrdliczka stwierdza, że w Ameryce, w owej wczesnej epoce, kiedy naszą planetę zamieszkiwały jeszcze przedpotopowe potwory, znajdowali się ludzie olbrzymy, wysokości pięciu metrów, coprawda nietylko pod względem wzrostu różniący się od ludzi obecnych. Jeden z dość dobrze zachowanych rysunków na skale, na terytorjum Arizony, z epoki z przed wielu tysięcy lat, przedstawia znane w nauce olbrzymie zwierzę, zamierzające rzucić się na człowieka. Gdybyśmy przyjęli, że wymiary są tutaj należycie zachowane, to należy przypuścić, że ten praczłowiek miał pięć metrów długości. I wiele innych rysunków stwierdza wprost olbrzymią wysokość ludzi przedhistorycznych.

Najciekawsza na świecie krowa. Czy ma który z Czytelników „Roli" taką krowę, którąby z jednego dojka dawała mleko, z drugiego czarną kawę, z trzeciego białą kawę a z czwartego czekoladę? Prawda, że nie? A przecież taka krowa istnieje i to na okręcie. Nie jest to wprawdzie żywa krowa, ale automat przedstawiający krowę. Ma ona jeszcze tę zaletę, że nie trzeba jej doić, wystarczy bowiem wrzucić pewną monetę do pyska, podstawić naczynie pod dojek, nacisnąć stosowną sprężynę, a płyn sam się do naczynia poleje. Krowa ta daje jej właścicielowi większe dochody aniżeli żywa.

Pięćdziesiąt lat posłem. W maju roku bieżącego ma być obchodzona w Algierze uroczystość pięćdziesięciolecia zasiadania w parlamencie francuskim posła z Algieru, Thomsona. Poseł Thomson, będący jednym z przywódców radykalistów francuskich, piastował przez pewien czas stanowisko ministra marynarki i znany jest jako jedyny żyjący jeszcze przyjaciel Gambetty.

Najstarsze drzewo. W Muksyku, na cmentarzu miasteczka Santa Maria del Tule, rośnie najstarszy przedstawiciel świata roślinnego, słynny cyprys, odkryty w 1803 r. przez sławnego Humboldta, podczas podczas podróży do Ameryki podzwrotnikowej. Kompetentni botanicy obliczają wiek tego cyprysu na 5 do 6 tysięcy lat. W obwodzie ma on 38 metrów. Nic więc dziwnego, że drzewo to, jako jedyna chluba meksykańskiej mieściny, jest zarazem i troską władzy miejscowej, nie mogącej się opędzić „natrętnym" badaczom i podróżnikom.

Zaludnienie świata. W 1910 roku było na kuli ziemskiej 1600 miljonów ludzi. W 1920 roku 1790 miljonów, a 1924 roku 1894 miljony, czyli na stu w 1910 roku 111 ludzi, a w 1924 roku 117 ludzi. Ciekawemi są cyfry dotyczące przyrostu ludności w poszczególnych krajach. Przyrost ten wynosi w Ameryce 26 procent, następnie idą Azja, Australja, Afryka, a na końcu Europa z trzema procentami. W 1924 roku wynosiła liczba mieszkańców w Europie 48·2 na kilometr kwadratowy, w Ameryce 5·2, w Afryce 4·8, w Azji 24·3.

RZECZY CIEKAWE.

Śledź i jego dzieje.

Nadszedł post wielki a z nim wzmógł się popyt na śledzie. Dlatego też nie od rzeczy będzie pomówić o tem interesującem stworzeniu. Wielu uczonych nie zadowoliło się tylko spożywaniem go w rozmaitych formach i przyprawach, ale też wiele grubych o nim napisano książek. Można wprost mówić o literaturze śledzia. I podobnie jak nauka przez długie wieki spierała się o kwestję: gdzie szukać kołyski ludzkości — tak samo przez długi czas toczono zawzięte spory naukowe: gdzie znajduje się kołyska »śledziego rodu«. Uczony burmistrz Hamburga, Jan Andersson, który żył z początkiem 18-go stulecia, postawił teorję, że ojczyzną śledzia są głębiny mórz podbiegunowych, skąd corocznie przedsiębierze ową wędrówkę, kończącą się zwykle w naszym żołądku. Dopiero w sto lat później zachwiały tą teorją badania szwedzkiego zoologa, Sven Nilssona, profesora uniwersytetu w Lund, który udowodnił, że istnieją różne »rasy« śledzi, o różnych okresach tarcia i różnych miejscach »stałego pobytu«.

Również badacz szwedzki, V. Ljungman (zmarły w r. 1901) dokonał systematycznego opisu przeróżnych gatunków śledzi i stworzył tem samem nowoczesną wiedzę o śledziu. Ljungman był też pierwszym, który wystąpił z teorją, że perjodyczne pojawianie się śledzi na wybrzeżu południowo-szwedzkiem pozostaje w związku z występowaniem »zorzy północnej« i silniejszem pojawianiem się plam słonecznych. Po Ljungmanie wystąpił badacz niemiecki, profesor Heincke, który zajął się nową metodą określenia wieku śledzi wedle łusek, które wyraźnie wskazują na »pierścienie roczne«. Tarło śledzi dokonywa się, jak wiadomo, albo w jesieni albo na wiosnę. Między »wiosennemi« śledziami pierwsze miejsce zajmuje rasa atlanto skandynawska, do której należą śledzie norweskie i islandzkie. Ta rasa jest najbardziej na targu pożądana. W ostatnich latach z wód norweskich dobywano przeciętnie 330 miljonów śledzi! Ten gatunek dokonywa »tarła« wzdłuż południowo-zachodniego i zachodniego brzegu Norwegji, aż po Aalesund, gdzie w lutym i marcu dostarcza olbrzymich połowów. Silne prądy morskie unoszą zarybek na wybrzeża północne Norwegii, gdzie rozrasta się w tłuste okazy śledzi. W Islandji coroczny połów śledzi wynosi przeszło 300.000 ton.

Gospodarczo najważniejszym gatunkiem śledzia jest t. zw. rodzaj »doggerbank«, który zwłaszcza przez szkockich rybaków bywa łowiony. Wielkie roje tego gatunku śledzi występują również w Skagerraku. Rybołóstwo na morzu Północnem największe zyski czerpie z tego gatunku, jako też ze śledzia »yarmouth«, który przeważnie jest łowiony przez rybaków angielskich.

Skutki wojny.

W Berlinie rozpoczął się międzynarodowy kongres pokoju.

Przy tej sposobności pacyfiści niemieccy wydali broszurę o skutkach wojen w której, między innemi, podano takie zestawienie:

„Gdyby generał Ludendorff mógł dokonać przeglądu żołnierzy, zabitych podczas ostatniej wojny, to marsz ich, przy dwudziestu ludziach w szeregu, trwałby od wschodu słońca do zachodu słońca przez dwa i pół miesiące. Trumny zaś tych poległych, ustawione jedna na drugą, utworzyłyby wstęgę od Paryża do Władywostoku".

Poza tem broszura wspomina, że we Francji zniszczono podczas tej wojny 741.883 domy i 23.000 zakładów przemysłowych.

A w Polsce? O tem, co u nas zniszczono i zburzono, nie wspominają jakoś sprawozdania międzynarodowe.

Zbiory miodu w Polsce.

Naczelny Związek Tow. pszczelniczych Rzeczypospolitej, który jest organizacją centralną wszystkich Towarzystw i Organizacyj pszczelniczych na całą Polskę — podaje, że zbiory miodu w ubiegłym roku, wedle dotychczasowych obliczeń, wyniosły około 15 milj. kg. W Polsce znajduje się około półtora miljona pni (uli), czyli, że na każdy ul przypada przeciętnie 10 kg. miodu. Obliczenie to zatem jest bardzo skromne i faktycznie zbiory miodu mogą znacznie przewyższyć 15 kg., zwłaszcza jeśli się weźmie pod uwagę, że na Wołyniu, gdzie warunki dla pasiek są najdogodniejsze, z jednego ula można zebrać w ciągu roku nie 10, ale nawet 50 kg. miodu. Pszczelnictwo jest dochodową gałęzią gospodarstwa wiejskiego, oprocentowującą się lekko, przy minimalnym nakładzie pracy i kapitału od 100—200 proc., przyczem warunki dla pasiek są w Polsce naogół bardzo sprzyjające. Najwięcej pasiek znajduje się na Wołyniu, na Polesiu, w Wileńszczyźnie, w Małopolsce, w woj. białostockiem, znacznie mniej w b. Kongresówce, oraz w b. zaborze pruskim.

Rok bieżący był dla miodobrania znacznie lepszy, niż poprzedni, niemniej jednakże i w tym roku wielkie spustoszenie wśród pasiek wyrządziły różne choroby zakaźne u pszczół (gnilce), oraz najniebezpieczniejsze ze szkodników — motylica. Za przykładem zagranicy (Szwajcarja, Włochy, Niemcy), gdzie pszczelnictwo stoi na wysokim poziomie i cieszy się pieczołowitą opieką władz, również polskie pszczelnictwo doczekało się tej opieki: badaniem chorób pszczelich zajmuje się od jesieni z. r. Wydział hygjeny Zwierząt przy państw. naukowym Instytucie rolniczym w Bydgoszczy, a nadto min. roln. postanowiło wysłać do jednego z zakładów zagranicznych specjalnego lekarza weterynaryjnego, celem praktycznego wyszkolenia w dziedzinie zwalczania chorób pszczelich.

Z miodu wyrabia się wina miodowe, t. zw. miody pitne, oraz pierniki miodowe, wosk pszczeli ma natomiast szerokie zastosowanie w przemyśle chemicznym.

Śmiertelny zakład.

Niektórzy ludzie mają zwyczaj nieraz bez zastanowienia się o byle co zawierać zakłady. Często taki bezmyślny zakład przepłacają zdrowiem, a nawet życiem. Podobny wypadek zdarzył się onegdaj w Paryżu. W towarzystwie dwóch młodych przyjaciół pewna młoda Paryżanka wstąpiła na kawę. Nie obeszło się bez kilku kieliszków rumu. Młodzieńcy żartowali z panny, że jest w dobrym humorze, a wtedy tamta założyła się z nimi, że wypije litr rumu. Zakład został przyjęty, butelka rumu kupiona. W taksówce panna wypiła rzeczywiście cały litr rumu, a na dowód, że bynajmniej nie jest pijana, zaproponowała pójście do dancingu. Ale na progu opuściły ją siły, a kiedy ją przewieziono do szpitala, zmarła po kilku chwilach.

Na fundusz wydawnictwa nadesłali PP.:

Antoni Klamut z Malinówki 60 gr., J. Kudziełka z Krzeszowic na paczkę tytoniu kraj. dla Maciusia 30 gr., Michał Kosacz na pomadkę do wąsów dla Maćka 2 franki, Rosiek Bartłomiej z Bełdna na śledzia dla Maćka 40 gr.

Odpowiedzi Redakcji.

Redakcja nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

Pp.: **Adolf Kozik** w S.: Sposób przyrządzania maści ogrodniczej podany był w numerze 5 „Roli" z br. Szczegółowe wskazówki, odnoszące się do szczepienia drzewek, umieścimy w jednym z najbliższych numerów. **Józef Ciastko** w B. P.: Z roku 1912 i 1913 mamy tylko niektóre poszczególne numera, musielibyśmy więc wiedzieć, których numerów Panu brakuje. — **Franciszek Porębski** w Krakowie: List, nadany przez Pana w Krakowie dnia 11 lutego, otrzymaliśmy dnia 3 marca razem z listem nadanym 2 marca. Wobec takiego pośpiechu poczty jesteśmy bezradni! — **Jan Kostka** w G.: Nie, w Polsce takiej ustawy niema, ale Pan, jako funkcjonarjusz państwowy otrzymuje przecież 44 punkty na każde dziecko, co wynosi miesięcznie 18 złotych 92 grosze. — **Franciszek Maciol** w S.: Wierszyki mają niektóre usterki, ale gdy je poprawimy, będą drukowane. — **Józef Krzyszkowski** w K.: Szkoda, że Pan tego wierszyka nie przysłał o tydzień wcześniej! — **Leopold Bąba** w N. S.: Na pytanie Pańskie rzeczywiście nie umiemy odpowiedzieć, dlatego też list Pański przytaczamy poniżej w całości, a może ktoś nam nadeśle na niego wyczerpującą odpowiedź. Brzmi on: „Już się tyle razy, że tak powiem, różnych różności naczytałem, a przecie nigdy i nigdzie nie zdarzyło mi się czytać artykułu na temat, gdzie też w organiźmie ludzkim mają swoje siedziby: gniew, radość, odwaga, bojaźń (względnie przerażenie), śmiech, oburzenie, płacz, smutek, żal, ciekawość, pycha, zarozumiałość, mściwość itd. Pod tym względem mam bardzo małe i słabe pojęcia np., że gniew swoje siedlisko ma mieć we krwi, żal w sercu, zaś co do śmiechu, to domyślam się, że w żołądku, bo śmiejąc się trzęsiemy żołądkiem, przerażenie zapewne we włosach, bo te dębem stają lub bieleją wskutek przerażenia. Artykuł taki poczytałbym za prawdziwie białego kruka"... Czekajmy więc, może nam kto taki artykuł nadeśle. — **Gabrjel Wirstnik** w Szcz.: Zbyt trudne zagadki zniechęciłyby ogół do ich rozwiązywania, gdy tymczasem każdą gimnastykę, a więc i gimnastykę umysłu, trzeba zaczynać od rzeczy łatwiejszych, a przechodzić do trudniejszych. Sama nagroda nie stanowi celu nadsyłania rozwiązań, gdyż przecież za te pieniądze, które wyda na pocztę, często kupiłby sobie sam książkę. — **Antoni Frączek** w P.: Wierszyk zupełnie dobry — dziękujemy. — **Piotr Potoniec** w W.: Owszem, wśród naszych czytelników mamy również i izraelitów, ale nie wszystkie nazwiska, które Pan wymienia są izraelickie. Np. pani Radlmesser jest nauczycielką i gorliwą katoliczką. — **Tadeusz Bierancik:** Każdy z Czytelników może nadsyłać wszelkie swoje utwory, o ile są dobre, chętnie je drukujemy. — **Antoni Król** w B.: Rozwiązania zagadek mogą nadsyłać nietylko prenumeratorzy, ale i czytelnicy „Roli", uważamy więc wprowadzenie kuponów za zbyteczne. — **Józef Morys** w C.: Za grzeczność dziękujemy — wysłaliśmy pod wskazanym adresem. Firma, którą Pan podał, jak się dowiedzieliśmy jest solidną. Cześć! — **Por. Waksmundski** z W.: Kalendarze już wyczerpane — co zrobić z pieniądzmi? — **Jan Jurczyk** z Z.: Kalendarze już dawno wyczerpane. — **Jan Kubielas** w P.: Obydwa roczniki „Roli" są z roku 1912. Rocznik zawiera 5 powieści: „Berezyna", „Rozbitki z balonu", Opowiadanie starego górala", „Krzyż", „Przez pogrom", Rok 1813", nadto wiele krótszych powiastek, opowiadań, gawęd, a także w każdym numerze opowiadanie Maćka Bzdury. Całość jest to bardzo gruba księga.



Giełda płodów rolniczych

z dnia 8 marca b. r.

Pszenica	52·00—53·00	Słoma długa	5·50—6·50
Żyto	40·00—40·50	Ziemniaki stoł.	0·00—00·00
Owies	32·50—33·00	Koniczyna nasienn. czer.	470·00—490·00
Jęczmień	36·00—37·00		
Groch zwyk.	48·00—52·00	Mąka pszen.	89·50—90·00
Fasola biała	53·00—57·00	Mąka żytnia	62·50—63·50
Łubin żółty	32·50—33·50	Otręby żytnie	26·00—27·00
Siano słodk.	11·00—12·00	Otręby pszen.	26·00—27·00
Koniczyna	15·00—17·00	Pęcak zwycz.	51·00—52·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Leon Łętowski z S.).

■ ☆ ☆ ■ Wspak zwierzę.
■ ☆ ☆ ■ Mieszkanie zwierząt.
■ ☆ ☆ ■ Potrzebny rysownikom.
■ ☆ ☆ ■ Smaczny do jedzenia.
■ ☆ ☆ ■ Wspak imię męskie.
■ ☆ ☆ ■ Narzędzie rzemieślnika.
■ ☆ ☆ ■ Zbiornik wody.
■ ☆ ☆ ■ Wspak przyprawa do potraw.
■ ☆ ☆ ■ Inaczej niema.
■ ☆ ☆ ■ Wspak duży pokój.
■ ☆ ☆ ■ Zmysł.
■ ☆ ☆ ■ Są w drzewie.
■ ☆ ☆ ■ Wspak zwierzę.
■ ☆ ☆ ■ Ceni pasiecznik.
■ ☆ ☆ ■ Wspak owoc.

Litery początkowe, czytane z góry na dół i końcowe z dołu do góry dadzą dwa imiona i nazwiska ludzi zasłużonych dla oświaty.

2. Szarady.

I.

(Ułożył Józef Krzyszkowski z K.)

Otwarto trzecie nauczycieli,
Gdy coś nowego uchwalić chcieli.
Orzeł pierwsze i drugie pod błękity,
Drugie się pierwsze ktoś, gdy upity.
Całość zabawka, dla dzieci miła;
Zagadka prosta i nie zawiła.

II.

(Ułożył Stefan Reuss z K.).

Pierwsze — pożera,
Drugie — ciągnie,
Trzecie — chodzi,
Całość — kwitnie!

3. Zagadki.

(Ułożył Jan Patulski z S).

I.

Wprost potrzebny przy więzieniu,
Wspak konieczny przy twierdzeniu.

II.

Bez wprost żaden kraj niema uroku,
Wspak gdy ładny ma go myśliwy na boku.

4. Przestawianka.

(Ułożył Andrzej Rębiński z D.)

o ła, u, ma, żdy, się, jak, nie, li, ka, ka, gar, sał, wozy, żdy, mia, kie, do, niej, u, tar, by, nie, szy, wi, wio, bić, cia, ki, czka, sta, ny, do, ny, ści, ji, dzie, tką, ru, rad, snąć, na, snąć, ob, cia, w, swo, by, ki, dzie, za, wziąć, ji, wczę, jej, i, ję.

Z powyższych zgłosek ułożyć początek wiersza, drukowanego w „Roli".

Dobre rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali pp.:

Edward Cygan z Brz., Antoni Król z B., Janka Nowakówna z W., Tadeusz Biernacik, Otton Krause z W., Kazimierz Żelazowski z M., Michał Więcław z P., Jan Czeluśniak z W., Jan Patulski z S., Jan Dubis z J., Piotr Potoniec z W., Ant. Frączek z P., W. Ciepiela z B. wierszem, Wład. Ptasiński z B., Adam Sowiński z N. S., Gabrjel Wirstnik z Szcz., Józef Uroda z B., Józef Fornal z Cz., Wł. Mikuła z T., St. Jachowicz z G., Jan Bylica z K., Jan Prorok z T. D., Józef Gąsior z S., St. Bronikowski z M. Szl., Ola Przyłęcka z Ł. Szl., K. Tomaszek z T., Janina Bujakówna z B., Jan Pamuła z Rz., Fr. Porębski z K., Ad. Warzecha z M., Andrz. Grzegorżak z Uj., Stef. Reuss z K., Fr. Kuliński z Z., Jak. Cichoń z P., Józef Gasiński z B., Piotr Wenc z Św., Józef Topolski z P. G., Roman Grębosz z P., Rudolf Kulla z K. M., Regina Starzewska z K., Jak. Kalarus z Z., Fran. Bajda z N., Tom. Hołub z G., Fran. Lech z W., Leon Procner z S., Leon Kranz z Ś., Mieta Kamionkówna z K., Wal. Zięba z Skrz., Jan Wójcik z W., Czes. Kozłowski z War., Rud. Brachaczek z P., Fran. Skiba z P., Win. Flis z L. G., Tad. Maniewski z Dąb., Fl. Ciebiera z Rzoch., Stan. Maniewski z D. W., Kaz. Halota z M., Just. Klocek z Dr., Józef Mrózek z Z., Wł. Nowak z Cz., Wł. Stelmach z Rzesz., St. Nowak z Kr., M. Rutkowski z Trz., Fran. Łukasik z Brz., Ferd. Czakon z P., Józef Kaizer z W. G., Jan Wojnar z M. G., Józef Łazowski z T., Jan Wyrobek z J., Jan Gałuszka z T., Alojzy Cieslar z J., Fel. Popielarczyk z K., Kasper Święcicki z D., Edward Kurdziel z K., Szymon Olearski z G., Józef Gac z B., A. Jurek z K., Ignacy Jaśko z K.

Nagrody wylosowali pp.: Janka Nowakówna z W. i Jan Czeluśniak z W.

Z Kraj. Związku Zawod. Rolników.

1. Dnia 26 marca br. o godzinie 10-tej w Krakowie, ul. Garncarska L. 1 odbędzie się ukonstytuowanie się Wojewódzkiego Związku Zawod. Rolników, zapraszam niniejszem wszystkich prezesów powiatowych Zw. Zaw. Rol. oraz prezesów najstarszych Okręg. Zw. Rol. z tych powiatów, gdzie niema jeszcze powiatowych, aby wraz z dwoma delegatami na zebranie to przybyli bezwzględnie.

2. Dnia 25 lutego b. r. ukonstytuował się powiatowy Zw. Zaw. Rol. w Rzeszowie, prezesem wybrano p. Kazimierza Dąmbskiego z Nosówki, wiceprezesem p. Kunysza z Zalesia. Z radością, podkreślić należy jaki duch panował na tem zebraniu, duch taki, który daje rękojmię pewną, że nareszcie rolnicy zrozumieli na czem oprzeć się musi przyszłość naszej Ojczyzny i przyszłość rolników. Porzucenie walk partyjnych, wzajemna sobie pomoc, skupienie się na gruncie zawodowym bez różnicy stanu posiadania. Włościanie powiatu rzeszowskiego służyć mogą za przykład większym rolnikom niechętnie do organizacji się zapisującym — widać lud dojrzał wcześniej pod względem społecznym jak ci co mieli do tego tyle środków i sposobu.

3. W Kętach, w pociecie bialskim odbył się zjazd delegatów gmin w liczbie około 50-ciu, na którym po referacie i dyskusji dłuższej uchwalono przystąpienie do zorganizowania w powiecie Okr. Ż. Z. R.

4. Zwraca się uwagę wszystkich powiatowych i okr. Związów Z. R., że powinni wspólnie pokrywać swoje zapotrzebowania w swoich powiatowych spółdzielniach czy składnicach. O ile takowe nie mogą im udzielić odpowiedniego kredytu zwracać się po niego do Kraj. Zw. Z. Rol. przez powiatowe Związki, przyczem donosi się, że najtańsze źródło zakupu koniczu czy kartofli tak na sadzenie jak jedzenie jest Józef B. Bernfeld, Lwów, ul. Murarska 7, jest to firma chrześcijańska bardzo uczciwa i pewna.

5. Sprawa długoterminowych pożyczek jest już na ukończeniu; tam gdzie chodzi o jednostki, ale gdzie wszyscy mają być sprawiedliwie i równo traktowani zawsze trwa z początku długo, ale jak raz wejdziemy na tę drogę, będziemy mogli szybko i dobrze sprawy wszystkich członków załatwić. Robimy dzieło, które wszystkim rolnikom ogromne przyniesie korzyści i zjednoczy ich.

6. Jednym z najważniejszych czynników szybkiego rozwoju organizacji jest jak największa liczba ludzi, którzy obok czystego charakteru i prawdziwej ideowości potrafiliby jasno przedstawiać nasz program działania i zasady takich ludzi trzeba wykształcić i to jak najprędzej. Proszę przeto niezwłocznie podać z każdego powiatu ludzi, którzy albo już są odpowiednio wyszkoleni, albo nadają się do wykształcenia.

7. Każdy Okr. Zw. Z. Rol. powinien zaprenumerować „Rolę" i to w jak największej ilości.

Tadeusz Łubieński.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni »Czasu« w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Przyjaźń w świecie.

Do domu pewnego radcy dworu austrjackiego przybył miljoner W. w odwiedziny. Radca wybiega naprzeciw niemu i wita go serdecznie. Wtem staje zdziwiony, bo ów miljoner p. W. ma minę smutną i ubiór zaniedbany. Pyta więc:

— Gdzie pan przepędził lato? W domu na wsi, czy w mieście czy zagranicą?

— Nie — odpowiada pan W. — nie mogłem nigdzie wyjechać z powodu strat, jakie mię dotknęły na giełdzie.

— Taak? a to smutna rzecz, — powiada p. radca. — Ja też przybyłem do pana, panie radco, jak do dawnego przyjaciela, szukać pociechy w mojem zmartwieniu i — przepraszam, ale śmiem prosić o pożyczenie 20 dolarów.

Radca zdumiony i zarazem zaniepokojony, że ten przyjaciel, u którego on bywał na wykwintnych śniadaniach i obiadach, teraz widocznie zubożał, przybrał minę bardzo smutną, a zarazem obojętną, wzruszył ramionami i rzekł: — Przepraszam pana, ale służyć mu nie mogę — bo nie mam tyle w całym domu. (Radca był bardzo bogaty.)

Na to uśmiechnął się pan W., poklepał radcę po ramieniu i rzekł:

— Dziękuję panu radcy! Stary, dawny przyjacielu, nie zawiodłem się na tobie, jak na 11 innych mych przyjaciołach. Ty jesteś dwunastym! Otóż dowiedz się, że w tej chwili wygrałem zakład. Założyłem się z kolegą, bankierem M**. o 10 dolarów, że 12 naszych dawnych przyjaciół odmówi mi pożyczki 20 dolarów, gdy do nich przybędę ze smutną miną, w ubiorze zaniedbanym i poproszę o pożyczkę. Kolega M**. nie chciał w to wierzyć, a teraz ja, po dwunastej wizycie u pana radcy, gdzie, jak widzę, tak samo byłem przyjęty, jak u poprzednich jedenastu — spieszę do kolegi M**, by odebrać z rąk jego wygraną sumę. Żegnam pana radcę.

Odwrócił się pan W. i poszedł, pozostawiwszy p. radcę w wielkiem osłupieniu.



Nie kijem ale pałą.

M ą ż d o ż o n y: Jutro przypada post, trzeba pomyśleć o umartwieniu ciała. Każ przeto zrobić zamiast 30, jak zwykle, tylko 20 pirogów, ale dodał po chwili, niech będą trochę większe.